Przes. poczt. opłac. rycz

ŁOWIEC POLSKI



Na śniegu w połowie kwietnia. Z Polesia (Hancewicze). Fot. Jan Bończa Markowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 23 (627). 6 CZERWCA 1931 R.

Wakacje na morzu śródziemnem.

Wycieczki okrężne luksusowym okrętem **„Conte Rosso“**, 18,500 ton. I-a wycieczka **od 9 do 25 lipca 1931** Genua, Neapol, Syrakuzy, Trypolis, Ateny (Falero), Rodus, Korfu, Zara, Fiume, Brioni, Triest, Wenecja. II-a wycieczka **od 29 lipca do 14 sierpnia** Wenecja, Triest, Brioni, Fiume, Zara, Korfu, Ateny (Falero), Rodus, Trypolis, Syrakuzy, Neapol, Rapallo i Genua. — Na pokładzie okrętu festyny, bale, koncerty, kąpiele morskie w basenach, gry sportowe i różne rozrywki. Ceny biletów okrętowych: w klasie turystycznej od Zł. 700, w klasie pierwszej od Zł. 1.400. Szczegółowych informacyj udziela **Lloyd Sabaudo** Warszawa, ul. Świętokrzyska 25. Telefon 605-10 i 341-60.

Poufałość z psem.

Pan do służącej:

— Marjanno, nie dlatego pozwalam mówić do mego psa po imieniu, abyście sobie pozwalali traktować go „od drani“.

ZIEMIA

Krzewi umiłowanie ziemi ojczystej.
Omawia metody i drogi pracy krajoznawczej.
Podaje opisy krajobrazów, bogactw naturalnych, miast, miasteczek, wsi.
Informuje o pracach, mających na celu poznanie kraju.
Propaguje ochronę przyrody i zabytków.
Zamieszcza wskazówki turystyczne.
Prowadzi stałą kronikę krajoznawczą, turystyczną, konserwatorską i muzealną.
Rozpatruje literaturę krajoznawczą i turystyczną.
Ilustruje licznemi zdjęciami fotograficznemi wszystkie artykuły.

20-ty rok istnienia pisma świadczy o jego potrzebie.

Prenumerata wynosi: kwartalnie zł. 7.50, rocznie zł. 29.—

WARSZAWA, KAROWA 31. TELEFON 642-50.

KONTO P. K. O. 2222.

ŁOWIEC POLSKI

TYGODNIK

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH
JEST JEDYNYM TYGODNIKIEM MYŚLIWSKIM W POLSCE.

Każdy racjonalny myśliwy-hodowca znajdzie w ŁOWCU POLSKIM porady i wskazówki z zakresu hodowli zwierzyny, porady dotyczące psów i broni myśliwskiej, bogato ilustrowany dział beletrystyczny, wiadomości o stanie zwierzyny w poszczególnych województwach i t. p.

Na łamach ŁOWCA POLSKIEGO zabierają głos najwybitniejsi pisarze - myśliwi. ŁOWIEC POLSKI ogłasza zarządzenia władz z zakresu łowiectwa. ŁOWIEC POLSKI, będąc oficjalnym organem Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, udziela swoim prenumeratorom porad prawnych, dotyczących kwestyj łowieckich.

ŁOWIEC POLSKI jest najtańszem, ilustrowanem pismem fachowem, wydawanem na pięknym, ilustracyjnym papierze, objętości 20 kolumn, a w numerach ozdobnych do 40 kolumn.

MYŚLIWI-HODOWCY

CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE »ŁOWCA POLSKIEGO«

JEDYNE W POLSCE, TYGODNIOWE, NIEZALEŻNE PISMO MYŚLIWSKIE.

KUPCY I PRZEMYSŁOWCY

reklamujcie się w tygodniku »Łowiec Polski«, którego liczni czytelnicy stanowią wybitny element nabywczy.

ADRES ADMINISTRACJI: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98

Piękny i ciekawy podarunek dla myśliwych i młodzieży,

CZESŁAWA ODROWĄŻ-PIENIĄŻKA

„W CESARSTWIE MENELIKA“

w pięknej, stylowej okładce. Bogato ilustrowana, z mapą ekspedycji i innymi dodatkami, oraz z przedmową wybitnego znawcy łowów egzotycznych, **dra Stanisława Zaborowskiego.**

Wydawnictwo ograniczone do tysiąca egzemplarzy numerowanych. **Cena zł. 16.**

Cena nienumerowanych zł. 8.



Widok na Krywań. Fot. Wł. Suleja.

PERKOZ DWUCZUBNY.

Słoneczny, upalny dzień lipcowy. Na czystym błękicie nieba tu i owdzie wiszą kłęby białych obłoków. Brzęczą gorliwie muchy. Ciemne, modre świtezianki i blado różowe jętki unoszą się nad wodą, przysiadając co chwila na roślinach wodnych; wyżej migają w zygzakach błyskotliwie, lśniące skrzydła ważek.

Czółno nasze z trudnością przeciska się przez zwarty las trzcin, które szerokim pasem obramowały jezioro. Tajemnicza, zielona zasłona niechętnie ustępuje przed czółnem i szelestem swym płoszy trzciniaki, które, kołysząc się na wierzchołkach wysmukłych źdźbeł, zanoszą się od śpiewu. Ich jednostajne zwrotki, raz po raz powtarzane, dziwnie podkreślają monotonję zarośli trzcinowych.

Im dalej od brzegu, tem woda staje się głębszą. Jeszcze kilka silnych pchnięć wiosłem i czółno wyzwolone z gęstwiny, lekko wypływa na odkrytą płaszczyznę wody.

W tej samej chwili na powierzchni jeziora ptak jakiś błysnął ku słońcu srebrzystą piersią i zniknął pod wodą. Tylko coraz szerzej rozchodzące się kręgi znaczą nam miejsce tajemniczego pływaka.

Cóż to za ptak? Zaciekawieni rozglądamy się po jeziorze. Upływa chwila i ciekawość nasza zostaje zaspokojona. Opodal miejsca zanurzenia się, równie niespodziewanie jak zniknął, ukazuje się on nam znowu na powierzchni. To perkoz dwuczubny. Z łatwością poznajemy go po wielkiej krezie dokoła twarzy i po dwóch pierzastych czubach sterczących mu na głowie. Silnie zanurzony w wodzie, tak, że zaledwie grzbiet mu widać, znaczy się nam na gładkiej toni przedewszystkiem wydłużoną szyją i głową, która dzięki wspomnianym ozdobom, wydaje się nam niepomiernie wielką.

Spłoszony przez nas tak nagle, kręci się teraz niespokojnie na powierzchni wody, pokazując naprzemian, to strzebrzysto-lśniącą szyję i pierś, to szare boki ciała i grzbiet.

Lecz oto znów zniknął, by w minutę dopiero wypłynąć o jakie sto kroków dalej. Obecność nasza zaniepokoiła go wyraźnie. To też chcąc go nadal obserwować, musimy znów skryć się z czółnem w szuwary. Manewr ten nie na wiele się jednak przydaje. Podejrzliwy ptak, raz spłoszony, stara się możliwie najdalej odsunąć od miejsca niebezpieczeństwa. Szybko płynie po powierzchni jeziora, przecinając go wpoprzek, to znów nurkiem oddala się w tym samym kierunku. Wreszcie niknie nam z oczu pod ścianą trzcin przeciwległego brzegu.

Ostrożnie rozchylając trzciny, rozglądamy się po jeziorze. Kto chce wnikać w tajemnice przyrody, winien zawsze jaknajmniej zwracać na siebie uwagi.

Dobrze jest czasem przez czas krótki chociażby, pozostać w ukryciu. Bo oto w innej okolicy jeziora spostrzegamy drugiego perkoza, który najwyraźniej

posuwa się w naszym kierunku Zachowajmy się spokojnie, a będziemy go mogli bez przeszkody obserwować.

Ptak jest narazie oddalony od nas o kilkaset kroków. Co pewien czas zanurza się pod wodę, gdzie pozostaje przez kilkanaście lub kilkadziesiąt sekund, poczem ukazuje się na powierzchni. Po kilku minutach znów daje nurka. Zarówno jednak pod wodą, jak i na niej, porusza się stale w naszą stronę. Szczęśliwa to dla nas okoliczność.

Oto jest już od nas oddalony zaledwie na kilkadziesiąt kroków. Przyglądając mu się uważnie, spostrzegamy, że w porównaniu z pierwszym, ciało jego znacznie więcej wystaje nad powierzchnię wody.

Jaki jest jednak cel tego ciągłego nurkowania? Nie ulega wątpliwości, że ów pierwszy, dostrzeżony przez nas osobnik szukał pod wodą poprostu schronienia przed nami. Ten jednak nie widzi nas. A może chowa się on przed jakimś innym nieprzyjacielem? Bynajmniej. Wszak ani tego nieprzyjaciela nie widać, ani też ptak nie wykazuje żadnych odznak niepokoju.

Perkoz nasz poprostu żeruje. Zanurzywszy się, chwyta larwy owadów, drobne rybki oraz rośliny podwodne.

Przepłynąwszy koło nas, znów zaczyna się oddalać. Nie warto go już więcej obserwować z ukrycia. Lekko poruszamy wiosłem trzciny. W ciszy panującej na jeziorze, perkoz usłyszał nas odrazu. Obejrzał się i w tej samej chwili ciało jego zanurzyło się głębiej w wodę. Sylwetka jego teraz podobna jest zupełnie do sylwetki owego pierwszego, spłoszonego przez nas osobnika. Jeszcze chwila i zaniepokojony ptak znika pod powierzchnią. Korzystając z tego, spróbujmy się zbliżyć do niego. Wiosłując szybko, w pół minuty jesteśmy w miejscu, gdzie zniknął. Rozglądamy się wkoło i przez chwilę spostrzegamy go znowu. Jest to jednak chwila tak krótka, jak mgnienie oka. Ptak wynurzył się o kilkanaście kroków od łódki i w tejże sekundzie zniknął. Teraz musimy nań czekać więcej niż minutę, poczem wynurza się on na odległości powyżej stu kroków. Rozgląda się dokoła, starając się poznać niebezpieczeństwo. Suniemy ku niemu — znów znika. Szybko wiosłując, jesteśmy wkrótce w miejscu jego ponownego zanurzenia się.

Nasz perkoz zrozumiał jednak o co chodzi — i on pod wodą nie próżnuje. Spostrzegamy go też na tej samej odległości przeszło stu kroków. Spróbujmy upartego ptaka sforsować. Napróżno. Po kilkudziesięciu jego zanurzeniach, musimy stwierdzić, że nie zrobimy tego nigdy. Perkoz poprostu żartuje sobie z nas. Wzlecieć do góry nie chce. Kryje się wciąż pod wodą, pokazując się to tu, to tam, a zawsze w tej samej, pożądanej dla siebie odległości. Gdy jednak ustępować nie myślimy, ptak zatoczywszy na jeziorze olbrzymi krąg, znika nam z przed nosa, w zaroślach trzcinowych. Jesteśmy w wyścigu pobici. W trzcinach szukać ptaka byłoby więcej niż bezcelowem.

Poszukajmy tam jednak jego gniazda. Kierując łódkę wzdłuż szuwarów i posuwając się powoli naprzód, rozglądamy się w zaroślach. Po dłuższych poszukiwaniach, spostrzegamy wreszcie niedaleko brzegu trzcin, jakąś kępkę zarośli wodnych. Podpływamy do niej i znajdujemy gniazdo perkoza.

Trzeba przyznać, że ma ono budowę bardzo oryginalną. Zbudowane jest głównie z trzciny, ma jednak domieszkę innych roślin wodnych, jak rdestnica, rogatek, wywłócznik i t. p. Rozmiary ma stosunkowo duże, mierzy bowiem w przekroju około 40 cm. Oryginalność jego polega na tem, że jest gniazdem pływającem. Przyczepione do łodyg trzciny, w miarę przyboru wody lub jej opadania, podnosi się do góry lub opuszcza w dół. W stosunku do powierzchni wody, nie zmienia jednak położenia.

Na wierzchu gniazda znajduje się wgłębienie. W tej chwili jest ono przykryte gnijącemi częściami roślin i mułem. Usuwając je, znajdujemy w gnieździe cztery jajka blado-niebieskawe. Ich barwy naturalnej możemy się jednak dopatrzeć z trudnością tylko, tak silnie są one powalane i zabarwione gnijącemi częściami roślin, z których zbudowane jest gniazdo.

Jaja leżą od spodu zanurzone w wodzie; bez wątpienia, gdy ciężki ptak siądzie na gnieździe, zanurzają się one jeszcze głębiej. Nie przeszkadza to jednak zupełnie wylęganiu. Od ciepła siedzącego na gnieździe ptaka, woda, w której zanurzone są jaja, utrzymuje się w temperaturze dostatecznie wysokiej dla rozwoju pisklęcia. Oto i teraz, zanurzywszy rękę do jeziora, a następnie do wody znajdującej się w gnieździe, wyczuwamy różnicę temperatury bardzo znaczną.

Uwagę naszą, skoncentrowaną na gnieździe, przerywa nagle donośne *kek... kek... kek.* Oglądamy się i widzimy w pobliżu, pływającą po powierzchni jeziora, samicę perkoza. Od poprzednio obserwowanych dwóch samców różni się ona mniejszym kołnierzem i mniejszymi czubkami na głowie.

Całe zachowanie się samicy zdradza silny niepokój o gniazdo. Kręci się ona po wodzie, pływając na niewielkiej przestrzeni to tu, to tam. Zanurza się niekiedy, nie dłużej jednak nad kilka sekund, a ukazawszy się znów na powierzchni, kręci się nerwowo, pokrzykując od czasu do czasu.

Nie znęcajmy się niepotrzebnie nad biednym ptakiem; porzućmy gniazdo; niech zaniepokojona o losy przyszłego potomstwa matka, wróci doń spokojnie.

Znów sunie nasza łódka po gładkiej powierzchni jeziora. Przeciągnął lekki wietrzyk, zaszumiał w trzcinach i zamarł. Z piaszczystego brzegu zerwała się rybitwa i pokrzykując żałośnie, ciągnie powoli nad jeziorem. W oddali rysuje się na wodzie sylwetka perkoza, brzęczą w słońcu muchy, a wysoko na błękicie nieba zatacza kręgi kania. Kwilący jej okrzyk spływa na jezioro, szuwary i okoliczne lasy.

Dobrze tu jest, pogodnie i cicho. Wrócimy tu nieraz. Tyle tu piękna i beztroski, tyle tajemnic do rozwiązania. Wrócimy więc, chociażby dla odświeżenia znajomości z perkozami.

Teraz jednak dla ogarnięcia całokształtu ich życia, musimy się cofnąć do wczesnej wiosny, do tej chwili, kiedy nasze wody zaczynają się wyzwalać z zimnych okowów lodu.

Już wtenczas zaczynają się pokazywać pierwsze perkozy. Początkowo zjawiają się pojedyńcze osobniki, później oddzielne pary, wreszcie niewielkie stad-

ka, z kilku lub kilkunastu sztuk złożone. Lecą one bądź to we dnie, bądź w nocy; najczęściej jednak późnym wieczorem lub wczesnym rankiem. Lot ich jest bardzo szybki, szczególniej wtenczas, gdy wzbiją się już na pewną wysokość i nabiorą rozpędu. Lecąc, wyciągają szyje ku przodowi i szybko bardzo poruszają swemi krótkiemi skrzydłami. Uderzając niemi o powietrze, wywołują charakterystyczny świst dający się słyszeć szczególniej wtenczas, gdy leci większe stadko, na odległość kilometra i więcej.

Lot ich podobny jest nieco do lotu kaczek, nie jest jednak tak zwinny: mianowicie lecą one zawsze w prostym kierunku, nie podnosząc się, ani opuszczając w czasie drogi, ani też nie zbaczając z raz obranego kierunku. Nie pławią się też nigdy w powietrzu. Co się tyczy szyku, przyjmowanego w czasie lotu, to *Taczanowski* pisze w tej sprawie: ,,Zwrócił wtenczas moją uwagę na siebie szczególny i nieznany mi szum w powietrzu; gdy spojrzałem nad siebie, postrzegłem kilkanaście perkozów dwuczubnych, podążających w wysokości około 200 stóp w szczególnym szyku od północy ku południowi, to jest leciały one w prostym szeregu tak rozwlekłym, że jeden od drugiego o paręset kroków był oddalony, a cały front około wiorsty zajmował. Posuwały się tak prawie szybko jak kaczki, wydając grający świst tak mocny, że go jeszcze o wiorstę słyszeć było można".

Natomiast do lotu zrywają się bardzo ciężko i nieudolnie. Wogóle perkoz zerwać się może do lotu jedynie z powierzchni wody. Wzlatując, bije na pewnej przestrzeni skrzydłami o wodę i ciągnie po niej przez czas pewien tułów i nogi. Oderwawszy się wreszcie od wody, wznosi się po linji pochyłej powoli ku górze. Obserwowałem kilkakrotnie na mniejszych jeziorkach, że wznosząc się w górę, zakręcał niedaleko brzegów i leciał z powrotem do brzegu przeciwnego, dopiero po kilkakrotnem powtórzeniu tego manewru opuszczał jeziorko. Robiło to, słuszne prawdopodobnie wrażenie, że ptak bał się lecieć zbyt blizko nad powierzchnią ziemi. Byłem przytem zdziwiony jak tak ciężki i nieudolnie poruszający się w powietrzu ptak, mógł wykonywać, dolatując do końca jeziorka, tak nagłe skręty.

Na zbyt małe zbiorniki wodne opuszcza się zresztą perkoz dwuczubny bardzo rzadko; prawdopodobnie właśnie wskutek tych trudności, które znajduje we wzlatywaniu z nich.

Z ziemi perkoz wznieść się w górę nie potrafi. To też perkozy wychodzą na brzeg bardzo rzadko, niemal wyjątkowo, chodzą zaś po niej z wielką trudnością. Opierają się przytem tylko na stopie, a nie na tylnej krawędzi skoku, jak to sądzą niektórzy. Opuszczają się na wodę, podobnie jak wzlatują, po linji pochyłej, opadając ostatecznie z wielkim rozmachem, przyczem uderzają całym spodem ciała o powierzchnię. Ta niemożność regulowania siły lotu przed jego zakończeniem, jest też bez wątpienia powodem, dla którego nie siadają nigdy na ziemię, a zawsze na wodę.

Przyleciawszy wiosną na jezioro, które ma im służyć za miejsce gniazdowania i pobytu przez całe lato, perkozy nie ruszają się już z niego. Wogóle w czasie całej pory lęgowej, nie latają prawie zupełnie i bodaj wyjątkowo tylko można widzieć, by w tym czasie perkoz dwuczubny zerwał się dobrowolnie i przeleciał jakąś przestrzeń nad jeziorem. Napastowane przez jakiegoś nieprzyjaciela, szukają zawsze ucieczki pod powierzchnią wody. Bo też nurkują znakomicie. Mogą przepłynąć pod wodą przestrzeń kilkudziesięciu metrów. Szybkość, z jaką znikają pod powierzchnią wody, jest zadziwiająca. Dość powiedzieć, że perkoz prawie zawsze zdoła uniknąć strzału z broni śrutowej, chowając się na czas pod wodę. Zobaczywszy błysk strzału, znika on prędzej, aniżeli śruty zdążą doń dolecieć. To też jeśli myśliwy nie zabije perkoza na powierzchni wody pierwszym strzałem, strzela potem zwykle bardzo długo bez skutku Uważny i mądry ptak za każdym razem znajduje ratunek pod wodą.



P. Helena Malewiczowa ubiła jednego ranka 5 kogutów na tokowisku w Przezdziatce.

Niemniej dobrze jak pod wodą, pływają perkozy po powierzchni wody. Trzymają przytem szyję wyprostowaną ku górze lub wygiętą w kształcie litery S. Pływając, może perkoz dobrowolnie zmieniać głębokość zanurzenia swego ciała w wodzie, bądź dotykając zaledwie powierzchni spodem swego ciała, bądź też zanurzając je tak, że zaledwie grzbiet jest z wody widoczny.

(Dok. n.). JANUSZ DOMANIEWSKI.



NA CIĄGACH SŁONEK.

Gdyśmy z gajowym doszli do mostku, gdzie zwykle były najlepsze ciągi, słońce jeszcze wysoko stało nad borem i mieliśmy dobre dwadzieścia minut do chwili usłyszenia cichego, jakby tajemniczego chrapnięcia nadlatującej słonki. Gajowy, z którym byłem, stary Maciej, od małego wychowywał się w lesie, znał też jego tajniki, jak żaden inny, i można było być pewnym, że jak powie: „Tu będzie dobry ciąg, albo tu wyjdzie kozioł", nie będzie się miało zawodu. Dziwiło mnie tylko, że choć wiedziałem, jakim jest zapalonym myśliwym, nigdy go nie widziałem z dubeltówką. Lubił zato opowiadać o tem, jak to było w lesie przed wojną, kiedy zwierzyny było bez liku, gdy po kilkanaście głuszcy zabijano na tokach, a już ulubionym jego tematem były łosie.

Teraz też po chwili milczenia, przez którą wsłuchiwaliśmy się w odgłosy powoli milknącego boru, zaczął mi wspominać o tem, jak to obecnie źle się ze zwierzyną dzieje, głuszcy coraz mniej, rano na Ostróżku zaledwie trzy koguty grały.

— To nie to co dawniej, panie, gdyśmy jednego ranka z nieboszczykiem ojcem pana dziedzica, pięć głuszcy ustrzelili, a łosie, aż przykro mówić, ostatniego zabił kłusownik w 1921 r. i od tego czasu ani razu nie natrafiłem na trop choćby przechodniego.

W tej chwili zdala dało się słyszeć ciche chrapnięcie i słonka daleko na lewo przeleciała przez drogę. Umilkł Maciej i nadsłuchując, czekaliśmy dłuższą chwilę. Roje komarów unosiły się nad nami, brzęcząc tak głośno, iż głuszyły nam dalekie chrapnięcia i ciche gwizdania, tak, że naraz jak duch, zjawiła się słonka nad nami. Strzał z przyrzutu — i słonka pada w strumyk, który ją powoli zaczyna unosić. Maciej szybko wskakuje do wody i wydobywa moją pierwszą słonkę; oglądam śliczne stworzonko, lecz znowu, tym razem zdaleka, słychać nadciągającą, gdyż komary zbite w kolumny, uniosły się wysoko nad nami, rozkoszując się ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Bucha strzał i ptak uderza o drogę, ale tylko zbarczony, tak, że Maciej go dobija i mruczy coś niezadowolony. — „Co takiego"? — „Ona nie własnem życiem żyła na ziemi". — „Co?" — „No tak, ptak jak spada, to już martwy, dusza jego zostaje w powietrzu, a jeśli jeszcze się rusza, to ma życie ze strzelby, to niedobrze, bardzo niedobrze i trzeba święconą kredą strzelbę taką naznaczyć".

Nie miałem czasu, by odpowiedzieć, gdyż trzecia słonka ciągnie, ale hen na prawo; waham się ćwierć sekundy, jednakże ciągnę za cyngiel i słonka spada martwa o przeszło sześćdziesiąt kroków odemnie. Myślałem, że po tym strzale zdanie Macieja o mojej strzelbie zmieni się, — ale gdzie tam. Ciemno się już całkiem zrobiło, wracamy, a mój Maciej milczy ciągle. Poczęstowałem go papierosem, wiedząc, że to najlepszy sposób, by się rozgadał, i nie omyliłem się. Wziął papierosa, wyciągnął krzesiwo i hubkę, bo do zapałek, którymi się raz poparzył, nie miał najmniejszego przekonania; skrzesał ognia, zaciągnął się i z początku jakby od niechcenia zaczął mówić:

— „A no widzi pan, ze strzelbą to różnie bywa, czasem jest cała uroczna i wtedy na nią niema rady, tylko połamać, albo jak jest głupi, co zechce kupić, to mu ją sprzedać. Strzela człowiek do zająca — trafia naganiacza, mierzy do głuszca — ucina pod nim gałązkę, a kogut zdrów odlatuje. Są inne, co mają jeden tylko urok: i tak był tu zeszłego roku „taki inżenier" na rogacze—pożal się Boże—strzelał ośm razy przez trzy dni, a do jednego to na piętnaście kroków, i nic. Widział, że się z niego w duchu śmiałem, i mówi: „Pewno Maciej myśli, że strzelać nie umiem, a no pokażę". Wziął kawałek papieru jak paznokieć, odliczył sto kroków, złożył się i momentalnie strzelił, trafiając w sam środek papierka; to był czarowny sztucer, ale tylko na rogacze, bo dwa dziki w zimie przy mnie z niego zabił".

— „A dlaczego zawsze bez strzelby chodzicie?" spytałem, „inni gajowi strzelają lisy, kuny, jastrzębie, dostają za to strzałowe a wy tak lubicie polowanie, a zawsze bez strzelby was widzę; czy może też czarowna?"

— „Eh, długo by było opowiadać, a i tak pan pewno nie uwierzy, bo to wszystko bardzo dziwne..."

—„No jak to było, opowiedźcie mi, proszę".

— „Jak pan koniecznie chce, to powiem: — było to pod koniec wojny, mnie starego do wojska nie wzięli, ale na wsi była gorsza bieda, jak na froncie, do tego przyszła ostra zima, śniegu wyżej kolan. Koło gajówki miałem kopę siana, cały zapas na zimę dla konia i krowy; przed Bożem Narodzeniem zauważyłem, że sarny i zające przychodzą do stogu i wyżerają mi siano. Myślę, dziedzica niema, będę żałował zwierzynę dla niemców i to żeby mi jeszcze siano ściągała, niedoczekanie. W samą wigilję wieczorem

biorę dubeltówkę, włażę na stóg i choć czuję, że źle robię, bo to grzech do cudzego zwierza strzelać, czekam spokojnie. Piękna była noc, mróz trzaskający, księżyc w pełni i na śniegu można było jak w biały dzień, widzieć. Około jedenastej zabiłem pierwszego zająca, chwilę potem druigego, i już chciałem schodzić, by wracać do chałupy, gdy widzę jeszcze jednego, kicającego do stogu, był jednak większy nieco od poprzednich i miał srebrzyste odblaski na grzbiecie. Gdy był na jakie piętnaście kroków, zatrzymał się i począł nadsłuchiwać; myślę: teraz tobie śmierć; wymierzyłem dokładnie — strzał, i zając skoczył, zrobił dwa susy i znów nadsłuchuje; kiej licho, myślę; mierzę i strzelam z drugiej lufy, a zając ani drgnie, tylko słuchami strzyże. Przetarłem oczy, nabiłem powtórnie strzelbę, a zając zbliżył się jeszcze o parę kroków, celuję dokładnie, tak, że widzę muszkę na komorze, jakgdybym kulą strzelał, i ciągnę raz po raz za oba cyngle, zając się z początku ani ruszył, dopiero po chwili wolno kicając, oddalił się i znikł w lesie. Przeżegnałem się, splunąłem na zły urok, wziąłem oba zabite zające i wróciłem do domu. Nazajutrz z samego rana, poszedłem zobaczyć ślady przy stogu. Widać było wyraźnie tropy dwóch pierwszych szaraków i postrzelany śnieg w paru miejscach, śladu trzeciego nie było wcale... Nie rozumiałem wtedy, co to miało znaczyć, ale stary Nikifor, mój kum z Kiwerc, który już wiele tajemnych rzeczy znał, gdy mu opowiedziałem moje zdarzenie, pokiwał głową i rzekł: „Nie strzelaj więcej, to pierwszy znak, tobie śmierć od strzelby pisana".

Nie wierzyłem mu jednak i zaraz po Nowym Roku poszedłem na skraj lasu, gdzie wychodziły lisy. Noc była jasna, choć księżyc późno wschodził. Długo czekałem na lisa, a tu o jakie trzydzieści kroków odemnie, gdzie leżał duży pień drzewa, uwija się wiewiórka".

— „Wiewiórka w nocy po śniegu!?"

— „Tak, i to wskoczy, to zeskoczy z tego pnia, tak jakby coś tam znosiła. Zniecierpliwiony i zmarznięty długiem czekaniem, myślę sobie, że chociaż to marne futerko, zamiast lisiego, zdobędę; poczekałem, aż wskoczyła na pień, i strzeliłem; wiewiórka znikła mi z oczu; poszedłem zaraz, by ją podnieść, ale jej nie mogłem odnaleźć i wróciłem do domu zły i zmarznięty. Nazajutrz jednak chciałem jeszcze przy świetle dziennem poszukać, bo mi się wydawało nieprawdopodobnem, bym mógł z tak bliska chybić... I uwierzy mi pan? miejsce, gdzie siedziałem na czatach, było zdeptane, wszystkie moje ślady były wyraźne aż do pieńka, koło którego nie było ani jednego śladu, ani wiewiórki, ani moich, choć obszedłem go parę razy w nocy. Śnieg był gładki, lśnił i iskrzył się w promieniach wschodzącego słońca...

Od tej chwili nie biorę strzelby do ręki..."

Dochodziliśmy już do domu, pożegnałem się z Maciejem, dziękując mu serdecznie za dobre miejsce na ciągu, oraz za ciekawe opowiadanie. W duchu myślałem: No, no, musi naprawdę być zamiłowanym myśliwym, nietylko że przepada za polowaniem i zwierzyną, ale i niezgorsze bajki wymyśla.

Było to rok temu, — wczoraj dowiedziałem się, że znaleziono zwłoki Macieja w lesie, obok leżała rozerwana strzelba... Stary Nikifor miał rację.

H. T.



Jeden poranek na Wileńszczyźnie.
Fot. Wł. Stachowicz.

POLOWANIE W PERU NA TERENACH KOLONJI POLSKIEJ „MUNTANNIE LORETTO".

(Korespondencja własna „Łowca Polskiego").

Cumarja, 18 stycznia.

W tych dniach rzeka bardzo przybrała i wylała na okoliczne lasy swe wody; jeden z metysów, tak zwany „cywilirados" przyszedł do mnie i zaproponował, abyśmy pojechali łodzią na polowanie, ponieważ woda zmusiła zwierzęta i płazy do schronienia się na wzgórki leśne.

Rano o godz. 6-ej ruszyliśmy, nas trzech polaków i jeden metys, w górę rzeki; po godzinie silnego wiosłowania skręciliśmy wprost w zalaną puszczę. Z początku płynęliśmy dość szybko, lecz po pewnym czasie podszycie stało się tak gęstem, że łódź, chociaż wąska, przecisnąć się nie mogła; wobec tego zaczęliśmy rąbać sobie „troczę" (ścieżka w puszczy); jeden z nas na zmianę klękał na dziobie łodzi i „maczetą" (duży nóż do cięcia dżungli) ciął drobne krzewy i ljany, robiąc drogę dla łodzi. Przy posuwaniu się musieliśmy stale oganiać się od miljonów mrówek, które przed wodą schroniły się na drzewa, a dwukrotnie spotkaliśmy żmije na konarach drzew. W ten sposób posuwając się około dwóch godzin, natrafiliśmy na suchą wysepkę pokrytą olbrzymiemi drzewami; już

mieliśmy wysiadać z łodzi, gdy Feluś zmierzył z dubeltówki i padły, jeden po drugim, dwa strzały. Gdy obejrzeliśmy się w kierunku danych strzałów, duży tapir leżał nad samą wodą, wydając ostatnie drgnienia. Początek był dość dobry, około 120 kg. smacznego mięsa i cenna skóra. Nasz tryumfator Feluś został przy łodzi, by oporządzić zabitego tapira, my zaś z „Małym" i mosem (metys w skróceniu), z maczetami w ręku i bronią gotową do strzału, ruszyliśmy w głębinie zalanego pagórka. Uszliśmy zaledwie kilkaset kraków, gdy „mos" zatrzymał się, nakazując milczenie i wskazując ręką na jedno z drzew.

Widok był wspaniały,—duży boa zwieszał swój straszliwy łeb, jakgdyby sięgał po coś. Przewodnik nasz zaproponował szeptem, aby „Mały" z karabinka „Lebella" kulą ecrasé, i on ze swej kapiszonówki, nabitej loftkami, jednocześnie strzelili, mierząc w łeb straszliwej bestji. Gruchnęły jak jeden, dwa strzały; gdy dym opadł, ujrzeliśmy boa z łbem rozbitym w kawałki, lecz zwycięstwo było niezupełnie; mimo roztrzaskanego łba, ciało gada trzymało się mocno na gałęzi. Nasz don Leonidas chciał ściągnąć zdobycz za pomocą zaczepionej ljany, lecz mimo wysiłków, nie udało się; byliśmy pewni, że tak pożądana zdobycz zostanie na drzewie, a my odejdziemy z kwitkiem. lecz „mos", wytrawny myśliwy, kazał nam podsadzić się do najniższej gałęzi i jak kot, wdrapał się na drzewo i kazał podać sobie „maczetę". Po chwili gałąź wraz z wężem leżała na ziemi. Zdjęliśmy potwora już bez trudu i odnieśli do łodzi. Wąż miał 3 metry 20 cm. długości, grupy zaś był jak noga dorosłego mężczyzny.

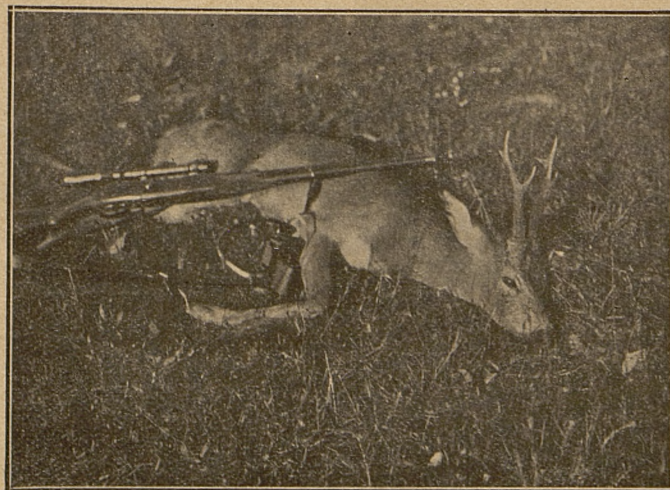
Rozgrzani powodzeniem, ruszyliśmy dalej w puszczę, droga była bardzo uciążliwa, ljany splątane z krzewami zagradzały przejścia, a i nogi zapadały się w rozmokłej ziemi; po dwóch godzinach drogi, już mocno zmęczeni, doszliśmy do kawałka rzadszego lasu. Wtem dał się słyszeć trzask łamanych gałęzi i na kilkanaście kroków przed nami ukazało się stadko, około 20 sztuk, „ronsoko" (rodzaj dzika); ja szedłem na przedzie z rewolwerem mauzera z kolbą, gotowym w każdej chwili do strzału. Zmierzyłem do najbliższej sztuki, wypaliłem dwukrotnie, skutek był pomyślny, „ronsoko" leżało, kopiąc ziemię racicami, reszta stada ruszyła pędem, przebiegając tuż koło nas. Wszyscy daliśmy po kilka strzałów w kierunku uciekających; po zniknięciu stada i przeszukaniu krzaków, okazało się, że jeszcze jedna sztuka leżała zabita. Powiesiliśmy zdobycz na ljanach zwieszających się z drzew, zabezpieczając przed zjedzeniem, i ruszyliśmy dalej. Już było około trzeciej po południu, gdy przewodnik nam zaproponował powrót do domu, wieczorem powrót byłby bardzo utrudniony, a „sencondo" (komary) dokuczają dotkliwie, szczególniej na brzegach rzeki. Zmęczeni i głodni zaczęliśmy odwrót, posuwając się wolno przeciętą „troczą" i rozmawiając o wydarzeniach dnia. Zbliżaliśmy się do łodzi, gdy nasz przewodnik stanął, dał znak milczenia i nadsłuchiwał uważnie; po kwadransie oczekiwania zatrzeszczały gałęzie olbrzymiego gumowca i zauważyłem ogromnego kota zsuwającego się po gałęziach pnia ku ziemi. Momentalnie zmierzyłem w łeb bestji i wypaliłem; zwierzę padło na rozmiękłą glinę, lecz chciało się zerwać. W tym momencie strzeliłem po raz drugi i trzeci, kule padły w miejsce przeznaczenia; około 1½ m. długi „tygrydzio" (jaguar południowo-amerykański) leżał martwy u naszych nóg. Zabraliśmy ubitą zwierzynę i załadowaliśmy do łodzi, ciesząc się tak obfitym łupem i chwaląc amunicję naszą, nabytą przed wyjazdem do Peru. Łupy nasze dostarczyły pysznego mięsa na kilka dni dla całej kolonji, a skóry zwierząt — tak pożądanej gotówki.

Polowałem innych dni na małpy, które często się w puszczy spotyka, zabiłem też pancernika i wiele różnego ptactwa. Płaskie brzegi Ucayali są zalane więc na krokodyle polowania niema na lądzie, a gdy zabije się w wodzie, nie można ich wydobyć, nie strzelamy przeto na darmo.

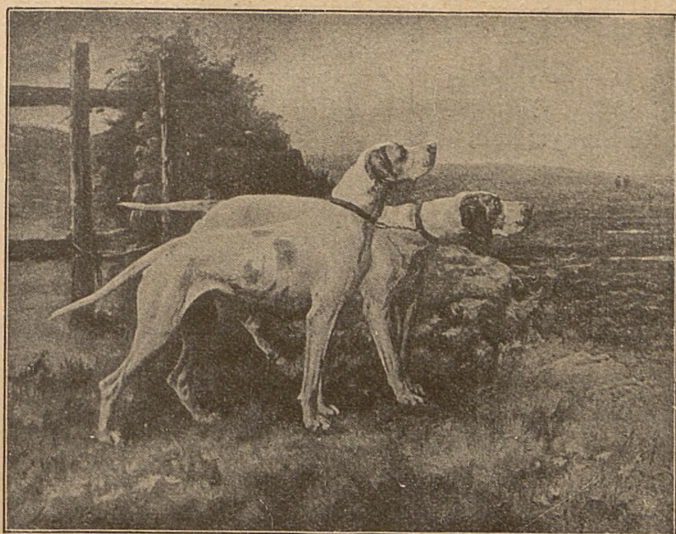
Jeździmy czasami na ryby z harpunami. Odbywa się to tak: bierzemy z „czakier" (kawałki ziemi pod uprawą) indjan, korzeń rośliny t. zw. „barbasko", gotujemy w wodzie w ilości około dwóch kubłów, następnie zabieramy to na łódź i jedziemy w górę rzeczki Benuyi (prawy dopływ Ucayali), tam na jakieś pół kilometra od ujścia wylewamy płyn do rzeki; działa to jak chloroform, ryby stają się sennemi, leniwemi i dają się unosić prądowi; wtedy na kilku łodziach stajemy w poprzek rzeki i kłujemy harpunami zniedołężniałe ryby, w ten sposób kilka razy złapaliśmy po kilkadziesiąt kilogramów ładnych, dużych ryb. W Ucayali i jej dopływach jest moc różnych ryb, są t. zw. „bufeo blomco", zupełnie jak krowy, pływające, i „bufeo negro", gatunek delfina, żyjących w rzekach tropiku. Pozatem jest mnóstwo krokodyli zielonych. niebardzo dużych, żyjących w rzekach, i krokodyli czarnych, bardzo dużych, żyjących w jeziorach „Muntanii". Z ptaków najwięcej jest „gors" (czapli), są białe, siwe i czarne, wszystkie jadalne. Kaczek dzikich w kilku gatunkach, najwięcej czarnych, dużych jak nasze gęsi; wszystkie nocują na gałęziach drzew, co dla nas wydaje się bardzo dziwnem. Jest moc papug różnych odmian, jedna z nich „ara" daje bardzo smaczne mięso. Blisko osiedli ludzkich jest moc ptaków dużych, czarnych, coś w rodzaju sępa t. zw. „Urubu". Oczyszczają one z nieczystości okolicę, więc są ochraniane przez ludzi, pozatem jest moc różnego ptactwa. Gorąco dochodzi tu w cieniu do 35°, a na słońcu do 60°.

Przypisek. Sezon, w którym jest opisywane polowanie, jest to okres deszczów, który trwa 3 miesiące.

JÓZEF GADOMSKI.



Dobry początek. Fot. Zygmunt Kurek. Gniew (Pomorze)



HISTORJA I OCENA RÓŻNYCH METOD TRESURY WYŻŁA.

Niemiecki autor książki „Pies myśliwski" — tak w powyższych sprawach się rozpisał:

Żaden z tematów nie jest tak wielostronny, tak niewyczerpany, tak często omawiany, tak różnorodnie ujęty i wreszcie tak podatny do wywoływania częstych starć i sporów, nawet wśród dobrych przyjaciół — jak właśnie temat dotyczący układania, tresury i prowadzenia psa w polu, gdy bowiem jeden z myśliwych uznaje cośkolwiek za rzeczywistą podstawę dobrej tresury, to znowu drugi — rzecz tę ośmiesza i zbija, mając to poprostu za zwykłą, cyrkową sztuczkę, gdy natomiast wedle mniemania jednego, jest cośkolwiek szczytem tej właśnie tresury, to wedle drugiego, rzecz ta nie ma sensu, jest bez wartości i t. d., i t. d.

Temu zresztą dziwić się nie można, kto bowiem dużo bywał w świecie i w różnych warunkach polował, kto w obszernych, buraczanych i kartoflanych łanach strzelał kuropatwy i tamże brał udział w zimowych nagankach i kotłach na zające, kto we wrzosowiskach strzelał cietrzewie, lub w rozmiękłych torfowiskach brodził za kaczkami; kto w skalnych urwiskach chodził za zającem; kto w bagnistych zaroślach polował na słonki, lub leżąc na brzuchu, wypatrywał zbliżającego się z oddali, rogacza; kto brodził po błotach za błotnem ptactwem, w lesistych zaś rewirach chodził na podchody i kto wreszcie wszędzie i przy różnego rodzaju polowaniach widział pracę wyżła — ten nie będzie się dziwił, że egzystują najrozmaitsze poglądy dotyczące wymagań stawianych wyżłowi. Jest zatem dość ryzykowne roztrząsać tę lub ową tresurę wyżła, gdyż trzeba sobie zdać sprawę z tego, że niejeden doświadczony myśliwy, w ciągu całego szeregu lat dochodzi jednak do własnych, a przez praktykę nabytych zapatrywań i poglądów. Wychodzę więc z tego punktu widzenia, że należy stworzyć taką ogólną metodę wychowania i tresury psów legawych, któraby rzeczywiście odpowiadała wszelkim wymaganiom, gdyby zaś komu to lub owo wydawać się miało dla jego warunków zbytecznem, to oczywiście mógłby niejedno mu niepotrzebne — poprostu opuścić.

Tresura, jaka za dawnych czasów była powszechnie uważana za najlepszą, a którą to tresurę — tresurą „par force" mianowano, była tak nielogiczną, nieludzką i każdemu z psów wstrętną, że wprost trudno pojąć, jak mógł zdobyć się przed laty znany, niemiecki myśliwy i treser ówczesnych psów myśliwskich Diezel, aż na tyle osobistej odwagi, ażeby błędy tejże tresury jawnie wykazać i napiętnować ją jako zgoła brutalną, barbarzyńską oraz z gruntu fałszywą.

Wtedy to przecież posiłkowano się li tylko wyżłami nieodznaczającymi się żywszym temperamentem, a szukającymi powolnie dolnym wiatrem, i wymagano zaledwie od nich, ażeby nie goniły zwierzyny, a tylko ją wystawiały i aportowały, a mimo to osiągano po-- wyższe umiejętności głównie za pomocą głodzenia i katowania. Mamy też nadzieję, że tego rodzaju metoda w dzisiejszych czasach przez żadnego już tresera nie jest i nie będzie stosowaną.

Pozostanie również wielką zasługą drugiego znowu, wytrawnego, niemieckiego myśliwego i tresera, *Oswalda*, że on pierwszy ujął tresurę psów legawych w stałe i rozsądne prawidła, które do dziś dnia są po większej części miarodajne, wszystkie zaś późniejsze uzupełnienia są tylko dodatkami do pierwotnej jego teorji opartej na logicznych podstawach.

Choć możnaby się sprzeczać o kolejność przeprowadzenia pojedynczych lekcyj i chociaż cały obecny psi materjał jest o wiele podatniejszy do tresury aniżeli dawniej, kładzie on jednak za mało nacisku na główne punkty, a mianowicie na 1) racjonalne wychowanie wyżła i 2) indywidualne jego zdolności.

Tenże Oswald rozpoczyna § 20 swego dzieła następującem zdaniem: „Gdy pies ukończy trzy kwartały, wtedy nadszedł czas właściwy, ażeby pomyśleć, że jest on do czegoś wyższego przeznaczony, aniżeli tylko do biegania i swych własnych rozrywek". Co do tego punktu, to jestem stanowczo wręcz przeciwnego zdania. Pies w wieku 3 kwartałów może, przypuśćmy, w zasadzie nie umieć jeszcze aportować, powinien jednak być już kompletnie posłusznym, chodzić poprawnie na otoku za swym panem, na każdą odległość powinien już warować, we wskazanem mu przez tresera miejscu dać się spokojnie pokładać i wogóle wiedzieć, do czego on istnieje na świecie!

Powyższe umiejętności mogą być psu przyswojone jedynie za pomocą odpowiedniego ułożenia, które bezwarunkowo nie powinno go przestraszać i zrażać, natomiast powinno go przekonać od najwcześniejszej już młodości, że jego pan stoi ponad nim i że powinien pozostawać z tymże w ciągłym kontakcie, co ma tę dobrą stronę, że u psa, nawet średnio uzdolnionego — tresura jego staje się *istną zabawką*.

Treser, który bierze do tresury racjonalnie odchowanego już psa, nie miewa nawet dziesiątej części pracy, jakiej wymaga pies dziewięciomiesięczny, zupełnie jeszcze surowy. Ponieważ jednak obydwa wypadki będą zawsze się zdarzały, należałoby więc rozbić tresurę wyżła na trzy osobne działy, a mianowicie:

1) Wychowanie wyżła i jego tresura,
2) Tresura surowego, rocznego wyżła, oraz
3) Tresura popsutych (znarowionych) wyżłów.

Dawne metody tresury psa, zbyt mało uwzględniały indywidualne uzdolnienie ucznia. Komu przeszło już przez ręce dużo wyżłów, ten wie najlepiej, jakie istnieją pod tym względem różnice. Jeden n. p. z elewów wywodzi się z psów, które już w ciągu wielu generacyj były przez rozsądnych myśliwych umiejętnie używane do różnorodnych posług myśliwskich. Przymioty i zdolności przodków dziedziczy zazwyczaj w pewnym stopniu potomstwo i wyrażenie *„podatność do tresury"*, które tak wielką rolę w hodowli odgrywa — *nie jest pustym dźwiękiem*. Jeśli umiejętny treser weźmie takiego psa z takiego właśnie gniazda w swe ręce, to będzie miał z nim znacznie mniej do roboty, aniżeli z psem miernego pochodzenia.

Lecz pozatem nawet, jednak indywidualne, myśliwskie uzdolnienie psa wskazuje jasno na właściwy kierunek, w którym pies winien być prowadzony i tresowany, a jako żywy przykład słuszności powyższego twierdzenia, niechaj służy wyżlica jednego z mych znajomych, która użyta najpierw do polowania na kuropatwy, okazała się tak do tego niezdatną, że jej właściciel chciał ją poprostu zastrzelić. Wówczas zajął się tą suką jeden z jego znajomych, a chcąc w niej pobudzić myśliwską jej żyłkę, użył innej drogi, a mianowicie naprowadził ją pewnego razu umyślnie na sfarbowane ślady ciężko postrzelonego rogacza i szlachetna ta suka odrazu pojęła, do jakiej włściwie roli jest ona przeznaczona. Suka ta rozwinęła następnie tak nadzwyczajne zdolności we wszelkich kierunkach, że na jesiennych, dość trudnych, polowych próbach, z łatwością pobiła wszystkie psy, odnosząc nad nimi kompletne zwycięstwo.

Ile też doskonałych psów zostało już nieraz z kretesem popsutych jedynie tylko dlatego, że treser, *nie licząc się* z ich indywidualnością, zabrał się do ich tresury za pomocą z góry powziętej, a zbyt przykrej dla ich usposobienia, *metody!* Pozatem i z tem liczyć się również należy, że jeden pies jest z natury tchórzliwy, bojaźliwy i zbyt wrażliwy — słowem, modnie się wyrażając — *nerwowy*, gdy natomiast drugi — twardy, uparty i krnąbrny. Zechciejmy więc wytresować je wedle pierwszego lepszego, a jednakowego, tresurowego szematu, a w tym wypadku spodziewać się oczywiście nie będziemy mogli dodatnich wyników.

Wychowując więc psa, nie pozostawiajmy go nigdy w czasie całej jego młodości samemu sobie, a będziemy oczywiście mogli z charakterem i zdolnościami jego dokładnie się zapoznać, oraz najlepiej ocenić, jak wziąć się do jego dalszego kształcenia, gdy bowiem jego indywidualne właściwości, z przyczyny zupełnego braku początkowego, domowego ułożenia, wadliwie się ukształtują, a następnie jeszcze bardziej ujemnie rozwiną, wtedy z psa, który przy umiejętnem kierownictwie mógłby stać się jaknajlepszym, użytkowym psem — wyrośnie zazwyczaj wierutny gałgan, do niczego już niezdatny.

Niestety jednak, posiadają wszystkie nasze tresurowe wydawnictwa ten kardynalny błąd, że ich autorzy zalecają po większej części jeden a ten sam nieodmienny szemat tresury, zamiast liczyć się przedewszystkiem z indywidualnemi zdolnościami elewa i stosownie do tychże, odpowiednich rad udzielać. Oczywiście, że pierwszy sposób t. j. tresura wedle podobnego, ogólnego szematu, jest przedewszystkiem znacznie prostszy, gdy zaś nauka psa treserowi się nie powiedzie, wtedy zwala on poprostu całą winę na psa, jako głównego winowajcę, a wobec tego uważamy, jak w tym wypadku, jednak za niezbędne, ażeby *przedewszystkiem* sam treser wykształcił się jak należy, w obranym sobie zawodzie, a to dlatego, że dobrych treserów, znających się *rzeczywiście* na rzeczy, jest bez wątpienia kolosalnie mało, tak u nas jak też i wszędzie. Główną przyczyną tego jest w rzeczywistości i to, że autorzy tresurowych książek popełniają ten mianowicie błąd, iż nie wyjawiają w nich, co do wielu punktów, swych osobistych poglądów zdobytych przez własną ich praktykę i doświadczenie, a pomijając niejedno milczeniem — powtarzają zazwyczaj to samo, o czem już inni się rozpisywali. Czynią to widocznie poprostu dlatego, że nie czują się na siłach, ażeby móc wogóle to lub owo należycie skrytykować i skorygować. Z tej też głównie przyczyny powstała ta niepewność i rozbieżność w teorji prowadzenia psa, a dlatego jesteśmy aż nazbyt często świadkami, podczas polowań i prób polowych, tych to właśnie przeróżnych, a wprost nie do uwierzenia głupstw popełnianych przez prowadzących psy, którzy ku swemu usprawiedliwieniu, przytaczają zazwyczaj zdania — wygłaszane w tej lub owej książce.

A teraz jeszcze jedna sprawa:

Wogóle każda z tresurowych metod winna być *możliwie jaknajprostszą, słowa zaś jej komendy — jaknajmniej liczne*. Pisaliśmy już co prawda w tejże sprawie rozprawę, która choć nie pozostała bez odpowiedzi, to jednak, w większym lub mniejszym stopniu, spotkała się z takiem uznaniem, że powtórzyły ją na szpaltach swoich nieomal wszystkie nasze łowieckie pisma, a którą i tutaj, w bardziej przekonywującej formie raz jeszcze cytujemy:

Gdy w ubiegłym roku oddawałem się w całej pełni miłemu mi polowaniu na kuropatwy w jednej z bawarskich wiosek, zjawił się niespodzianie u mnie któregoś wieczora, strzelec jednego z większych, okolicznych hodowców psów myśliwskich, który przyprowadził z sobą niemieckiego, krótkowłosego wyżła, ażeby go u mnie na jesiennych kurach nieco tresować. Naturalnie rozpoczęliśmy zaraz pogawędkę na temat tresury psa i strzelec, chcąc się popisać swoją tresurą przeprowadzoną wedle teorji Oswalda, rozkazał swemu psu aportować kuropatwę, w takiej kolejności:

„Waruj!" — pies kładzie się prawidłowo na ziemi u nóg strzelca,

„Naprzód!" — pies pełza na brzuchu w stronę kuropatwy,

„Waruj!" — pies leży znowu,

„Nazad!" — pies powraca do strzelca,

„Aport!" — pies idzie po kuropatwę i ją przynosi.

Racja! — jest to zupełnie według Oswalda. Swoją drogą żal mi wszystkich treserów, którzy tego rodzaju *fidrygałki* z psem swoim wyprawiają! Dwie z powyższych umiejętności, a mianowicie „Naprzód!" i „Nazad!" są tutaj kompletnie zbyteczne i utrudniają tylko psu, oraz treserowi całą robotę. Co do komendy „Nazad", to ją przecież doskonale zastąpić można zwykłem gwizdnięciem.

(Dok. n.). EMIL KARNEY.



W SPRAWIE STRZAŁÓW Z LUNETĄ.

I.

Nawiązując ten swój artykuł do listu do Redakcji, p. Romana Prawocheńskiego, który był tyle łaskaw powołać się, między szanownymi mymi kolegami z pod zielonego sztandaru, także i na moje skromne zdanie w tej, nieraz bądź co bądź, drażliwej kwestji, śpieszę z wyłuszczeniem swego zapatrywania...

Pocznę od tego, że „wątpliwości" szanownego autora dowodzą niezawodnie głęboko rozwiniętej etyki łowieckiej, — przecudny w swej subtelności lęk o najmniejszą chociażby „drażliwość" mogącą spowodować „obrazę" dla szlachetnego jak złoto, kunsztu św. Huberta! — Zniżyć proces polowania — do pospolitego „rozstrzeliwania", — zabijanie metodami niemal że „rzeźnickiemi"!...

Czołem więc przed podobnem „wyrafinowaniem" dobitnie dowodzącem, że żyją w naszem środowisku, dzięki Bogu, rzetelne „dusze myśliwskie"!

...Niech że ten święty znicz miłości dla istot wszelkich wszechstworza pozostanie na wieczne czasy.

„Vivat, crescat, floreat... ad aeternum" — jak się śpiewa na korporacyjnych „komilitonowych komersach"! Listem swym albowiem sz. autor dobitnie dowiódł, że należy do rzędu tych wybranych, którym chodzi „o nieskazitelność" szaty godowej dla tych, co szczytne miano „myśliwca" noszą!... Dzięki Mu za to!...

A więc zasadniczo biorąc, uważam, że wogóle strzały z lunetą, ze spokojnem sumieniem dopuszczalne bywają: 1) na terenach „ekwatorjalnych" — wobec częstokroć niemożliwości podchodu czy podjazdu na normalne dystansy przeróżnych, egzotycznych okazów, przyczem się też osiąga wysoce humanitarny rezultat „niekaleczenia" napróżno objektów; 2) przy polowaniach, na których nieraz wypada „oddawać" swój pocisk w szarugach przedświtu czy wieczornych zmrokach.

Do rzędu tych ostatnich zaliczam oczywiście — podjazd rogaczy, rykowisko jeleni i ruję łosi

Bo istotnie, ileż to razy kiedy to dobrotliwy welon nocy pocznie zapadać, — gdy, ani rusz „schwycić" kozła na wizjer i muszkę niepodobna, — dobroczynna luneta umożliwia rozpoznanie parostków, wieńców czy łopat, i daje pełną możliwość prawdziwie „myśliwskiego" trafienia i zdobycia pięknego okazu!..

Pozatem, zdaniem mojem, w naszych warunkach nie należałoby nigdy uciekać się do lunety.

Mówię, oczywiście o sportowcach z „pewną ręką" i... workiem.

Atoli dla mniej pewnych „venatorów" jeszcze lepiej nadać się może zbawienny ten przyrząd optyczny, bo— przynajmniej nieszczęsny rogacz nie powędruje w świat szeroki z rozstrzaskanym badylem, czy też uszkodzoną, tylną łopatką?!.

Aczkolwiek zadowolenie z podobnej, strzeleckiej operacji — nigdy nie da się zrównać z „prawdziwym" strzałem „od oka" i „ z ręki"...

To dopiero satysfakcja i rzetelny tryumf łowiecki!...

Jeszcze intensywniejszym się staje przy zastosowaniu kul „w rzutowych strzałach" do zajęcy.

Ale to już poniekąd wkracza w dziedzinę mistrzostwa „á la Wilhelm Tell" — i stosowane być może li tylko przez „wybranych" — ku wielkiej szkodzie interesów „kulinarno - skórnych", dla tych, dla których „utylitarna" część łowów jest „alfą i omegą" wszelkich zabiegów myśliwskich!...

Odnośnie zwierzyny „latającej" — to oczywiście bez wszelkich skrupułów dobry myśliwiec pozwolić sobie mógł oddać swe kule przy pomocy lunety do dropi, do łabędzia dzikiego czy do gęsi na oziminie pasącej się, lub wreszcie każdego rzadkiego okazu niedającego się na metę „podejść".

Z budki do cietrzewi naturalnie też, chociaż ja osobiście nie byłem nigdy wielkim zwolennikiem tej metody.

Strzały piękne, coprawda dawać można, — ale też i „rekordowa" ilość wiosennych „trubadurów" pada nieraz!... To już źle!... A ileż to, z małokalibrowych „winchesterów" strzelanych — ulatuje z tokowiska, unosząc „pełną" kulkę w swem biednem „rozamorowanem" koguciem ciałku!... Ze śrutówki nigdy się nie upoluje takiej ich ilości... Oprócz tego uważam, że wszelki „rekord" ilościowy — odnośnie rzadkich gatunków — nie powinien być dopuszczalny!... Jakość strzału i piękno otoczenia — trudność zdobycia — to grunt!..

Pozostawmy rekordy klasowe dla kotłów zajęczych, klinicznie hodowanych bażantów, sławetnych „tir aux pigeons" i innych ćwiczeń strzałowych do żywych, ruchomych celów.

Oczywiście tembardziej nie może być mowy o zdobywaniu głuszców w okresie toków wiosennych i wogóle w ciągu roku całego — kulami i to jeszcze z lunetą.

Niestety, w niektórych północnych krajach podobny sport jest uprawniony. Wyobrazić sobie nawet nie mogę podobnej ohydy.

Nie zawsze, co prawda, strzał z lunetą nawet bywa łatwy od ręki, ale z oparcia — spokojnie, do siedzącego objektu, chyba że nawet zawodowy pudlarz nie „skiksuje" nigdy. A głuszców po odbytych takach, kiedy to spracowane koguty sadowią się na wierzchołkach „chwojek" dla pokrzepienia się igliwiem, długo nieraz żerując; doprawdy nic łatwiejszego, jak do każdego, niby z regestru, trafiać i... podnosić spadłych na ziemię. Nie wspominam o całym cyklu czarownych emocyj: wysłuchiwania na zapadach, podchodu, zoczenia królewskiego pieśniarza, do zera się redukujących przy tego rodzaju łowach.

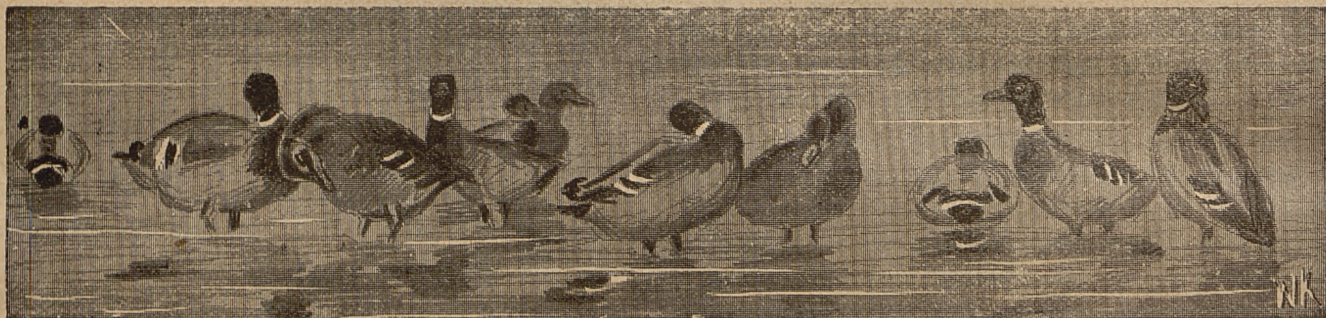
Dziwię się, że pewne kraje zezwalają u siebie na podobne metody niszczycielskie. Nawet bajeczna ilość głuszców na terenach, nie usprawiedliwi przenigdy tego rodzaju rzezi.

Na naszem Polesiu nawet gwarantuję, że w dobrych, głuszcowych rewirach w pogodny ranek z łatwością 5 — 10 okazów można zamordować po dniu, polując z... lunetą. Uchowaj ś-ty Hubercie!

Co się tyczy niedźwiedzia, to nie uważam go wogóle za objekt do strzału z lunetą i nie uznaję podobnego rodzaju polowania.

Reasumuję: zostałem głęboko wzruszony etycznemi wątpliwościami Sz. Autora „Listu do redakcji", jako też tak łaskawem traktowaniem mojej skromnej opinji. Zupełnie podzielam Jego kąt zapatrywania się wogóle na całe to zagadnienie.

ADAM RZEWUSKI.



W SPRAWIE ROZWOJU SPORTU KULOWEGO W MYŚLISTWIE.

Zamieszczony w „Łowcu Polskim" artykuł: „Jeszcze o strzelaniu do drobnej zwierzyny kulami", który wyszedł z pod pióra w balistyce myśliwskiej tak poważnego autora, powoduje, że wsuwam w sprawę i swoje „trzy grosze", — jako że jest to temat, po rysiach, wilkach i niedźwiedziach — najwięcej mnie frapujący.

Chodzi o odpowiedni ładunek kulowy na mniejszą zwierzynę ze szczególnem uwzględnieniem polowania na zające.

Tem samem chodzi o strzelanie do celu bardzo ruchomego, boć podchód na „kicającego" lub „słupka" (w „kopnie" zająca w zasadzie się nie widzi) uważam za nienadający się do uwzględnienia.

Przy omawianiu celu tak ruchomego, wołałbym przedewszystkiem: chyżości, chyżości i jeszcze raz chyżości dla kuli! Ona nietylko jest miarodajna, jak daleko możemy prawidłowo kulą sięgać, ale co jest decydujące u rozważnego strzelca, — a przy kuli tylko o takich może być mowa, — ona wskazuje, gdzie mierzyć, strzelając. — Zastanówmy się, że przecież wszelkie mierzenie przed celem i gustowanie wiele przed tym celem trzeba „brać", aby weń kula trafiła, a nie za niego, to istna nielogiczność wobec faktu, że rzucamy w przestrzeń tak jakby jeden punkt tylko, i ten dobrze chcemy w celu uplasować. Nie można więc poważnie mówić o strzelaniu, gdy się gustuje np. czy metr, czy pół metra nakładać, — a w rzeczywistości chodzi o każdy centymert długości celu, w który ma go pocisk dosięgnąć. Z chwilą jak mierząc, muszę wyjść z celu, aby go dosięgnąć, mogę sobie odpowiednie mierzenie kombinować tylko przy strzale śrutowym — gdzie rzucam garść pocisków rozbiegających się, z tem, że nie ten, to inny trafi, ale nigdy przy kuli — tu precyzja a nie przypadek rządzi. Po powyższych uwagach, jasne, że ładuneczki jak „short, longrifle" etc. z powodu słabej chyżości ich kuli (nie wdając się nawet w krytykę tej ostatniej pod względem zdolności szybkiego zabijania), nie mogą tu wchodzić w rachubę — bez względu na ich celność. — Nie chcąc się powtarzać, proszę tych myśliwych, którychby niniejszy przedmiot interesował, o przeczytanie mych o nim artykułów w „Łowcu" lwowskim, a to w Nr. 3/926: „Jubileusz mego 20-lecia w kalibrze 5, 2 m/m oraz artykułu w N-rze 4/931: „O rozwój sportu kulowego w myślistwie".

Zwłaszcza w pierwszym z nich daję dokładne dane o jakości i wartości omawianych ładunków. W końcu podnoszę, że znana, warszawska firma broni myśliwskiej „Lisowski" otrzymała właśnie od pana Barańskiego z Łukawicy w Stryjskiem, mój typ powyższego ładunka z najlepszą na zające formą pocisku (ekspanza) — widocznie u tamtejszych panów myśliwych nieznanego. — Gdyby mi się udało szerzej wprowadzić ten ładunek, to uzyskalibyśmy podstawę do znacznego jeszcze jego udoskonalenia w myśl powyższej mej recepty o chyżości. Przeprowadziłem bowiem korespondencję ze światową firmą w Norymberdze i przy

odpowiedniem ilościowo zamówieniu podjęłaby się ona fabrykacji tego typu z takiej jakości materjałów, że możnaby do nich użyć znacznie intensywniejszego prochu bezdymnego (obecnie wiedeński Springer pobierając ładunki od G. Rotha z Wienerneustadt, używa 0.45 g prochu Troisdorfer 1912). W takim razie chyżość już obecnie dobra, dałaby się przywrócić, jak miałem ją przed wojną, po osobistem wypróbowaniu całego szeregu europejskch prochów bezdymnych.

W interesie sprawy najchętniej będę reagował na wszelkie szczegółowe odniesienia się.

Perehińsko. Inż. WŁADYSŁAW BURZYŃSKI.



MOJE PIERWSZE KOGUTY.*)

Już dawno miałem obiecane, że w tym roku podczas wakacyj wielkanocnych pojadę pierwszy raz na toki cietrzewi; to też wyczekiwałem tych świąt z wielką niecierpliwością. W listach swoich wypytywałem się ciągle i dowiadywałem, czy koguty już tokują, czy budki zrobione i t. d. Aż tu jak na złość, przed samemi świętami zachorowałem, co opóźniło mój przyjazd do domu o dwa dni. Po przyjeździe zaraz zacząłem się o wszystko dowiadywać, ku memu jednak zmartwieniu okazało się, że pora na toki jeszcze za wczesna i koguty tokują jeszcze marnie z powodu mrozów, wichur i złej pogody. Uzbroiwszy się więc w cierpliwość, trzeba było czekać.

Aż wreszcie po świętach, we wtorek wicher ustał i pogoda ku mojej wielkiej radości zaczęła się poprawiać. Koguty według raportu gajowych, grały świetnie, a szczególnie w jednem miejscu miało ich grać około dziesięciu. Budka tam była już zrobiona. Gdy mój ojciec oznajmił mi podczas obiadu, że nazajutrz rano mam tam jechać, radości mojej nie było końca. Ciągle obserwowany barometr stał na szczęście dosyć wysoko tak, że należało się spodziewać na jutro pięknej pogody. Przygotowaniom nie było końca; czas dłużył się niesłychanie. Wieczorem umówiwszy się jeszcze po raz ostatni z gajowym i furmanem, i wysłuchawszy z uwagą wszystkich ojcowskich rad i przykazań, poszedłem spać. Marzyłem jeszcze chwilę o jutrzejszych znojach, ale wkrótce zasnąłem, śniąc o przyszłych sukcesach myśliwskich.

Zbudził mnie o wpół do trzeciej odgłos terkoczącego pod poduszką, budzika. Wyskoczyłem z łóżka i sprawdziłem z radością, piękną pogodę. Było jednak 4 stopnie mrozu. Z przerażeniem pomyślałem, że któreś z rodziców zbudziwszy się, spojrzy na termometr i nie pozwoli mi pojechać. Ubrawszy się prędko i zmówiwszy pacierz, w którym po tysiąckrotnie polecałem ten dzień św. Hubertowi, wziąłem dwunastkę swego ojca, którą mi na tok pożyczył, oraz mój repetjerowy sztucerek F. N. kal. 22 i poszedłem pod stajnie, gdzie furman z zaprzężoną bryczką już czekał. Ruszyliśmy po zmarzniętej drodze. Wiatru nie było. Nad nami świeciło wygwieżdżone niebo, od wschodu lekko zaróżowione. Wkrótce dojechaliśmy do umówionego miejsca, gdzie czekał na nas gajowy. Biedak zmarzł bardzo, więc żeby mu poprawić humor, obiecałem mu „madery" (wódki). Za chwilę wysiedliśmy z bryki i poszliśmy pieszo w kierunku budki. Teren był piaszczysty, porosły zrzadka jałowcami, młodemi brzózkami i sosenkami-samosiewami, o kilkaset kroków czernił się las. Wkrótce dotarliśmy do budki; był to równy, okrągły dołek — otoczony powtykanymi w ziemię naokoło jałowcami. Rozlokowaliśmy się w budce w oczekiwaniu kogutów. Zaczęło szarzeć. Niebo od wschodu stawało się coraz czerwieńszem, aż zamieniło się w purpurę. Las się budził. Najpierw zakwiliły gdzieś na łąkach czajki, później kogut bażanci się odezwał swym ostrym krzykiem. Na sąsiednich ługach i moczarach zakwakały krzyżówki, w górze zaświstała para cyranek. Życie się wszędzie budziło. Nawet drobne ptaszęta zaczęły wywodzić swe trele, z początku nieśmiało, potem coraz głośniej; wszystko zanosiło do Stwórcy swą poranną modlitwę. Kogutów jednak nie było, byłem w rozpaczy. Nagle, gdy już straciłem całą nadzieję dzisiejszych toków, usłyszałem upragnione: „fa, fa, fa, fa, fa... pac!" Cztery koguty zapadły naraz koło samej budki. Zamarliśmy w bezruchu. Miałem ochotę skakać i śmiać się z radości. Rozległo się parę nieśmiałych „czuszykań"—później cisza. Za chwilę, przyleciało jeszcze parę kogutów i tok rozpoczął się na dobre. Widok był cudowny. Parę kogutów grało tuż przy samej budce, reszta o kilka kroków dalej. Raptem stało się coś dziwnego, koguty jak urzeczone, przestały nagle grać, podbiegły jeszcze parę kroków jak kury, potem każdy przycupnął pod jakimś krzakiem i wtuliwszy głowę, zdawał się spać. Widocznie się czegoś przeraziły — może dostrzegły jastrzębia? Ta przerwa trwała około pięciu minut, poczem jednak rozpoczęły znów granie. Paliłem się,

*) Autor ma 13 lat. — *Przyp. Red.*

by strzelić, z drugiej strony żal mi było przerywać świętokradzkim hukiem strzału, cudny widok. Obawiałem się, by czar nie prysł. Gajowy jednak przynaglał mnie; wybrawszy więc najbliższego koguta, który o jakieś dwadzieścia kroków, pod jałowcem tokował, i wziąwszy do rąk śrutówkę, przyłożyłem ją do twarzy. Serce zaczęło mi bić jak młotem, i podeszło do gardła. Rozległ się huk strzału, — dojrzałem tylko wzlatujące pierze, chciało mi się wyć z rodaści. Pamiętny jednak wskazówek ojca, nie pobiegłem na miejsce strzału. — Część kogutów odleciała, reszta dalszych przerwała tylko tok; wkrótce jednak rozpoczęły i one grać dalej. — Tymczasem kula słoneczna wytoczyła się ponad horyzont i objęła swem jasnem i ciepłem spojrzeniem cały świat. Koguty na chwilę umilkły, jakby oddając tem cześć przejawiającemu się przez wschód słońca, cudowi Stwórcy, — później zaczęły grać jeszcze mocniej. Dwa koguty wszczęły z sobą walkę, więc przyglądałem się im z zaciekawieniem, — na strzał były trochę zadaleko. Trwało to wszystko jakie dwie godziny. Wkońcu gajowy począł energicznie nalegać, bym strzał zaryzykował; była to ostatnia chwila. Istotnie tok się kończył i koguty powoli odlatywały. Ostatecznie więc strzeliłem do najbliższego, o jakie 60 kroków oddalonego od budy; po strzale wszystkie koguty zerwały się. Byłem niezadowolony, że śrutem strzeliłem za daleko, nie czekając na ewentualne zbliżenie się kogutów. Ku nieopisanej mojej radości, jednak spostrzegłem, że strzelony kogut o kilkadziesiąt kroków spadł. Tok się skończył, więc wyszliśmy z budki i odnalazłszy koguty, ruszyłem pełen szczęścia do domu, unosząc z sobą prócz kogutów, jeszcze, niezatarte i niezapomniane nigdy wspomnienie ze swych, pierwszych w życiu toków.

Krzepin — JAN SIEMIEŃSKI.



O ZRZUCANIU WIEŃCÓW.

Kilku myśliwych daje w „Wild u. Hund" (19) odpowiedź na pytanie z dziedziny zrzucania wieńców przez jelenie. Pewien nadleśny państwowy opowiada o swoich spostrzeżeniach dokonanych w marcu r. b., a dotyczących kwestji, czy jeleń zrzuca naprzód prawą łodygę wieńca, czy lewą. Obserwował on w marcu roku bieżącego 16 jeleni, z których u 11-u udało mu się stwierdzić z całą stanowczością, że 10 najpierw zrzuca lewą łodygę, a 1 tylko najpierw prawą. Zrzuty niektórych z tych jeleni ważyły 4 do 7 kilo. Osiemnastak dźwigał swą prawą łodygę wagi 3,025 kg. — 24 godziny po zrzuceniu lewej, wagi 3,1 kg. Jedyny jeleń, który zrzucił wpierw prawą łodygę wagi 3,55 kg., dzwigał lewą łodygę wagi 3,15 kg. przez 2 doby jeszcze. Zupełnie błędne tedy jest mniemanie, że jeleń zrzuca obie łodygi jednocześnie lub że on zrzuca najpierw cięższą łodygę. Bardzo rzadko też znajduje się obie łodygi razem leżące. Są to tak rzadkie wypadki, że w przeciągu dziewięciu lat zdarzyło się to zaledwie dwa razy.

Co się tyczy wagi wieńców 11 jeleni powyżej wspomnianych, to oprócz dwóch, których wagę już podano, z pozostałych dziewięciu u 5 lewa łodyga ważyła więcej niż prawa, a u 4 — prawa więcej. Różnica wynosiła od 15 do 50 gramów, nie była zatem znaczna.

Po zrzuceniu jednej łodygi jeleń trzyma głowę ukośnie przez jakie dwie — trzy godziny.

Inny myśliwy, mający za sobą 30-letnią praktykę, potwierdza fakt, że jelenie zrzucają najpierw lewą łodygę. Obserwator robił swe spostrzeżenia w obfitującym w jelenie, rewirze wschodnio - pruskim, zaopatrzonym w doskonałe żerowiska.

Jeden z łowczych państwowych w Niemczech obserwował przez 20 lat akcję zrzucania rogów w ogrodzonym parku jeleni i danieli. Stwierdził on, że nieraz między zrzuceniem jednej łodygi a zrzuceniem drugiej upływało 8 dni. Dalej zaobserwował, że w lutym, marcu i kwietniu, kiedy jeszcze zwierzynę dokarmiano, po zrzuceniu rogów słabsze sztuki rozpoczynały specjalną walkę z silniejszemi.

Zrzucaniu rogów towarzyszy pewien ból fizyczny, ujawniający się w nienormalnych ruchach jeleni.

Zachowanie się danieli w czasie zrzucania łopat odpowiada mniej więcej zachowaniu się jeleni w tymże czasie.

Mając pod obserwacją w parku 2000-morgowym około 80 jeleni oraz sporo danieli, wspomniany łowczy stwierdził, że najsilniejsze jelenie zrzucały wieńce między 3 a 6 marca, a najsilniejsze daniele między 18 a 22 kwietnia.

KALENDARZ ŁOWIECKI NA CZERWIEC.

(Z Kalendarza za r. 1817).

Gonią się: żadne.

Parzą się, gniazda ścielą i lęgą się: Głusiec, cietrzew, słomka, dzikie kaczki i gołębie mają młode; przepiorki naniesły iaiek, bocian siedzi na iaiach, a czapla młode wywodzi z gniazda.

Grają: żadne.

Łanie kończą w tym miesiącu cielenie się, sarny kocenie, zaiące nie przestaią kocić się. Żadne zaś zwierza ani pomiatają ani się ciekaią.

Żywioł zwierzyny. Jelenie i łanie jako też sarny, żywią się teraz zbożem w polu i latoroślami, szukają także ziół dobrych i miejsc do lizania, solą opatrzonych; dzikie świnie odwiedzają podobnież zboża w polach, a szczególniej żywią się korzonkami i ziołami w nizinach.

Zaiące mają swoie pożywienie w obsianych polach. Drapieżne zwierza łapią młodą zwierzynę i żywo ją dzieciom swoim przynoszą, wprawiaiąc ie do duszenia. Dzikie kaczki napadaią teraz nocami zboża w polach.

Głusiec szuka z dziećmi iaiek mrowczych, cietrzew zaś i kuropatwy wpadają w zboża.

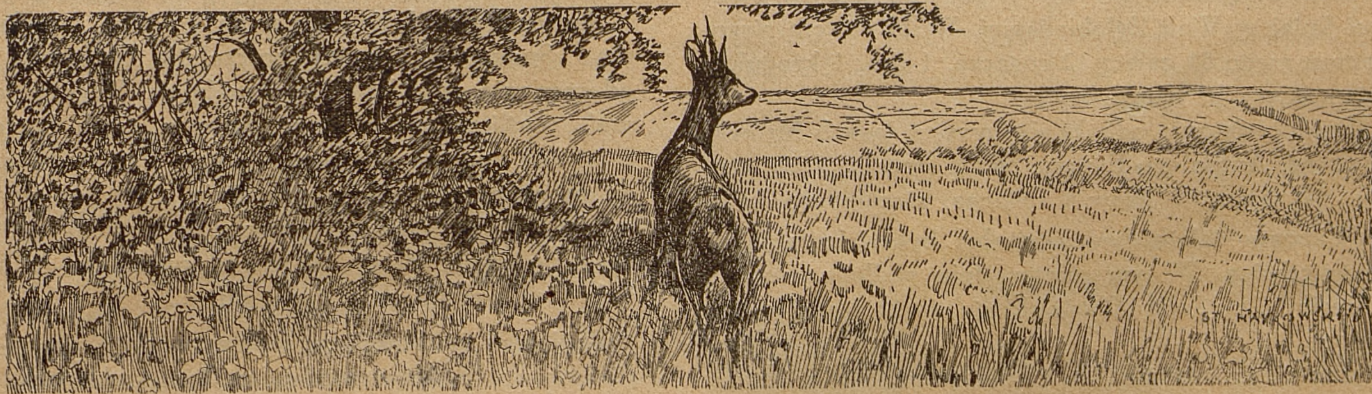
Pobyt zwierzyny. Jeleń dostając teraz twardości rogów, chowa się znowu w gęstwinach, lecz łania z cielęciem rada bydź osobno. Dzikie świnie zostaią ieszcze w gęstwinach, a maciory z prosiętami łączą się z iałowemi.

Rogacze trzymają się młodych sarn i swawolą z niemi; stare sarny wodzą swoie młode. Zaiąc chowa się w polu i w brzegach kniei. Głusiec samotnie żyie, a samica młode wodzi. Ciecwierka bawi się z młodemi w gęstwinach, a kuropatwy z dziećmi swemi w polu w zbożach.

Utrzymanie zwierzyny. W tym miesiącu starać się wypada, aby koryta do poienia i kałuże były czyszczone, i mieysca do lizania soli odświeżone. Na młode wilki trzeba z wszelką usilnością dybać i zabierać ie; lisie iamy pilnie wypada zwiedzać, młode lisy wyśledzać i zabijać.

Użytkowanie zwierzyny. Jelenie inněy dostaią sierci a przy dobrěy karmi skromu nabieraią, można więc po Stym Janie ielenie i rogacze sarny, strzelać.

Przypomnienia łowieckie. Wszelkie polowanie ze psami zabronione iest, i cierpiane bydź nie może. Młode ptaki drapieżne, które w tym miesiącu stare opuszczają, trzeba podchodzić i zabijać. Śledzenie zaś młodych wilków i podkopywanie młodych lisów, trzeba gorliwie kontynuować.



Z ŁOWISK RZESZOWSKICH.

Z uwagi, że sezon myśliwski już się u nas skończył i że strzelby powędrowały do remontu, pragnę podzielić się z Szan. Redakcją dalszemi wiadomościami o przebiegu i o wynikach naszych polowań w powiecie. Podaję je w porządku chronologicznym, z ilością strzelb i z liczbą ubitej zwierzyny.

Szóste z rzędu polowanie urządziło Towarzystwo myśliwskie w dniu 13 grudnia na polach Zwięczycy. W siedmiu kotłach i w 17 strzelb legło 60 zajęcy i 3 bażanty. Dwa lisy wyszły z polnych miotów jeszcze przed zamknięciem kotła. — Razem więc strzelono na tem łowisku, licząc pokot i z 19 listopada: 97 zajęcy, 10 bażantów, lisa i krogulca. Dnia 19 grudnia polował p. dr. Midowicz na polach w Trzcianie, a dnia 20 grudnia na polach w Świlczy. Pierwszego dnia padło w 22 strzelb 114 zajęcy, drugiego dnia w 27 strzelb 263 zajęcy. Było to polowanie rekordowe, z wynikiem nigdy przedtem nieosiąganym, z 120% przyrostem w porównaniu z rokiem 1929.

W jednym kotle w Świlczy podniosły się nad zdumionymi strzelcami dzikie gęsi. A było ich ośm. Gęsto ostrzeliwane pogubiły tylko lotki i uleciały na południe szczęśliwie... Wieczorem zaś, gdy byliśmy przy obiedzie, oglądaliśmy dwie żywe kury bażancie,

schwytane przez pewnego wieśniaka w stodole... Rzecz oczywista, że powędrowały one w następnym dniu do naszego rewiru bażanciego w Zwięczycy.

W dniu 24 grudnia ubiliśmy na polach dzierżawionych przez Towarzystwo w gminie Staroniwa, w czterech kotłach przy udziale 21 uczestników, 75 zajęcy. W tym samym dniu padło w Tyczynie na polach dworskich u p. Witolda Uznańskiego w 11 strzelb 103 zajęcy.

Dnia 27 grudnia polowało Towarzystwo na swoich terenach w Przybyszówce i ubiło w 5-ciu polnych miotach w 31 strzelb: 375 zajęcy!

W pierwszym, około 350 mg. mającym kotle, padło aż 209 zajęcy! Rezultat taki wspaniały dlatego, że w zeszłym roku tego miotu nie opolowywano, i dlatego także, iż graniczy ón z łowiskami pp. Jana Jędrzejowicza i hr. Stefana Dąmbskiego, znanych hodowców zwierzyny i zamiłowanych myśliwych. Przekonaliśmy się zatem, jak wielką rolę dla hodowli i jak wielki wpływ dla liczebnego stanu zwierzyny wywiera zawsze dobre sąsiedztwo.

Królestwo wystrzelał sobie na tem polowaniu p. płk. Stefan Ludwig (29 zajęcy).

Dnia 30 grudnia urządził u siebie na polach Babicy piękne polowanie p. Joachim Jarochowski, znany w szerokich kołach łowieckich, szczęśliwy strzelec rekordowy. W 11 strzelb ubito tam 64 zajęcy i 1 bażanta.

Na dwu małych, ale niezmiernie wdzięcznych polowaniach zaaranżowanych przez p. Jana Jędrzejowicza w grudniu i styczniu w jego niespełna 40-to morgowym zagajniku w Miłocinie, padło w strzelb 7 i 5 razem 109 bażantów i 76 zajęcy.

Dnia 31 grudnia polował p. dr. Midowicz w pięknej kniei w Woli Zgłobieńskiej. W 25 strzelb strzelono u niego 51 zajęcy, 2 rogacze, 1 lisa, 1 krogulca. Stan zajęcy bardzo dobry.

Dnia 2 stycznia odbyły się łowy w lasach Mrówki u p. inż. Antoniego Ilgnera. W 24 strzelb ubito wtedy: 82 zajęcy, 7 lisów i rogacza, strzelonego kulą.

Widziano także dwa kapitalne byki jelenie i dużego odyńca. W tym samym dniu padło na polach Zalesia u p. Jana Gumińskiego w 11 strzelb 150 zajęcy.

Trzeciego stycznia b. r. polowało Towarzystwo myśliwskie w Błędowej i Woliczce. W sześciu polnych miotach przy 9 uczestnikach znalazło się na pokocie 78 zajęcy. Z uwagi na to, że strzelb było mało, że łowom sprzyjała piękna, mroźna pogoda i że dużo zajęcy uchodziło bez strzału, zaliczyć należy to polowanie do najpiękniejszych w Towarzystwie. Królem polowania został p. dr. Marjan Nowiński z 14-toma zającami. Królował on zresztą prawie na każdem klubowem polowaniu, bo i strzela doskonale i najszczęśliwsze miewa zawsze spotkania.

W dniach 7 i 8 stycznia odbyło się przemiłe polowanie w Rudnej Wielkiej u p. hr. Stefana Dąmbskiego. Pierwszego dnia na polach padło w 9 strzelb 185 zajęcy, drugiego dnia w cudnej kniei Rudzieńskiej w 12 strzelb 74 zajęcy i lis. W pierwszym dniu królował p. Jarochowski, w drugim p. Jan Gumiński.

Dziewiątego i 10 stycznia polowaliśmy w Boguchwale u p. inż. Ignacego Gebharda. Pierwszego dnia na polach ubito w 22 strzelb 153 zajęcy, drugiego dnia w lesie w 24 strzelb 64 zajęcy i dwa lisy. Zdarzyło się wtedy, że w pierwszym, leśnym miocie wyniósł na plecach jeden z naganiaczy, rosłego rogacza, którego schwytał zaplątanego w ożynach czy w tarninie, a którego zaraz obdarzono wolnością, w przedostatnim zaś miocie podniosła naganka innego rogacza, już nieżywego z rozbitą główką, który uderzył się o drzewo i zabił się na miejscu.

15 stycznia polowało się u p. Kamila Bieniaszewskiego w Wysokiej koło Głogowa. W czterech polnych i w czterech leśnych miotach ubito 190 zajęcy. Pola spisały się doskonale, las natomiast dał mniej, być może dlatego, że go się brało po obiedzie już i małemi partjami. Kochany gospodarz zostawił więcej niż połowę swoich rewirów w spokoju...

Dnia 19 stycznia wypadło małe polowanie w Nosówce u p. Kazimierza Dąmbskiego. W dwu godzinach, w trzech miotach polnych i w trzy strzelby ubito wtedy 42 zajęcy. Z powodu podmuchów wichury i gęstej śnieżycy, polowanie przerwano.

22 stycznia polowało Towarzystwo myśliwskie na polach w Niechobrzu. W siedmiu miotach przy udziale 18 strzelców, strzelono wtedy 157 zajęcy. Nie ruszono trzech pozostałych jeszcze, dużych miotów, aby zostało trochę zajęcy na „rozpłodek". Przed wojną padało tam 30 do 35 zajęcy.

24 stycznia wypadło ostatnie już w sezonie polowanie klubowe w Kielanówce i w Racławówce. W 16 strzelb i w sześciu polnych miotach legło 98 zajęcy.

Sezon skończył się zatem. Lasy i pola zaległa cisza. Spokoju i ochrony potrzebuje zwierzyna dla odprawienia swoich godów weselnych. Więc je teraz ma!... Jeśli zima będzie w dalszym ciągu łagodna, a wiosna (zwłaszcza marzec) ciepła i sucha, namnoży się zwierzyny moc i przyrośnie jej w porównaniu z minionym okresem myśliwskim conajmniej o 100%, zarówno wśród zajęcy, jak wśród kuropatw. Jednych i drugich zostało przy życiu dużo...

Ponieważ parkotnia u zajęcy zaczyna się u nas stosunkowo dość wcześnie, w tym roku np. już w pierwszej połowie stycznia, co się zresztą stale obserwuje, bez względu nawet na ostrość takiej czy innej zimy, dlatego wskazane byłoby ustawowe zamknięcie ich odstrzału we wszystkich południowych województwach z dniem 14 stycznia. Również nie prędzej niż od 1-go listopada powinny się zaczynać polowania. Jak bowiem w drugiej połowie stycznia strzela się często kotne zajęczyce ku niepowetowanej szkodzie dla zwierzostanu, tak i w drugiej połowie października ubić można karmiące matki lub znaleźć całkiem jeszcze niewyrośnięte zajączki...

Sądzę, że czas od 1 listopada do 14 stycznia aż nadto wystarczy, aby prawidłowi myśliwi mogli opolować normalnie wszystkie swoje łowiska.

Rzeszów. WŁADYSŁAW GUERTLER.
delegat

Kronika myśliwska.

—s— W ordynacji Dawidgródeckiej Karola ks. Radziwiłła na wiosennych tokach padło: głuszców sztuk 53, cietrzewi 115. W polowaniu brali udział: hrabia Paweł Potocki — zabił głuszców sztuk 11, cietrzewi 35; hrabia Benedykt Tyszkiewicz głuszców szt. 10, cietrzewi 8; książę Józef Jabłonowski — głuszców szt. 5, cietrzewi 17; hrabia Stanisław Potocki — głuszców szt. 5, cietrzewi 9; hrabia Remigjusz Grocholski — głuszców szt. 4, cietrzewi 14; jenerał Carton de Wiart — głuszców 4; ordynat Cyryl Czarkowski-Golejewski — głuszców 3, cietrzewi 9; książę Hieronim Radziwiłł — głuszców 2; hrabia Roman Potocki — głuszców 3, cietrzewi 5; hrabia Jerzy Potocki — głuszców 1; hrabia Nietroth — głuszców 1; książę Olbrach Radziwiłł — głuszców 1, cietrzewi 5; pułkownik Wołkowicki — głuszców 1; książę ordynat — głuszców 2, cietrzewi 16. Razem głuszców 53, cietrzewi 118.

Czy złożyłeś już dobrowolną opłatę od zabitej zwierzyny, na budowę Domu Łowieckiego?



— **Wypadek na polowaniu.** — Dnia 20 maja wieczorem, znany artysta - malarz Jerzy Kossak, zamieszkały w Krakowie, bawiąc na polowaniu w lesie w Tyńcu, przez nieostrożność postrzelił z dubeltówki, 14-letniego chłopca Władysława Marczyka. Ciężko ranny chłopiec zmarł w drodze do szpitala.

— **Drapieżce w zwierzyńcu.** — W związku z zamierzonemi przeróbkami w warszawskim Ogrodzie, zoologicznym, dyrektor tegoż, dr. Żabiński udzielił między innemi następujących informacyj:

Jednym z przesądów, powszechnie kursujących o dzikich zwierzętach, jest przekonanie o ich niezmiernej sile. Zarówno dzikość, jak siła i długość skoku jest bardzo przeceniana. Jeszcze w r. 1838 magistrat amsterdamski zezwolił Kornelowi von Acken wystawić pawilon dla dzikich zwierząt tylko pod tym warunkiem, że zbudowany on będzie z grubych, granitowych ciosów, drzwi i okiennice ze stalowych płyt, a pręty klatek z żelaznych sztab.

Tymczasem dla zupełnego oddzielenia drapieżca wystarczy niezbyt głęboka fosa z wodą, tak szeroka, aby zwierzę nie mogło jej przeskoczyć. Szczegółowe pomiary wykazały, że dla lwów fosa powinna mieć 5 – 6 metrów szerokości, dla tygrysów zaś 6 — 7. Takie też fosy buduje się dziś powszechnie w wybiegach dla drapieżców. Dla małp fosa 4-metrowej szerokości i 3-metrowej głębokości najzupełniej wystarcza, zapobiegając możności ucieczki, efekt zaś całego stada pawianów znakomicie przewyższa efekt parki trzymanej w klatce.

— **Kursy i wystawa zwierząt futerkowych.** — Polski Związek hodowców zwierząt futerkowych postanowił urządzić w Warszawie kurs hodowli zwierząt futerkowych, który się odbędzie w dn. 25, 26 i 27 czerwca, poczem będzie zorganizowana wycieczka do hodowli członków Związku. Gotowość przyjęcia wycieczki wyrazili właściciele ferm w Zbicznie, Serweczu, Kaczorowych, Korczewie i Milejowie. Opłatę za udział w kursie ustalono w sumie 10 zł. od osoby. Wycieczka na koszt własny słuchacza (przejazdy).

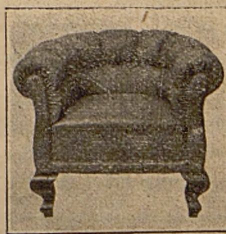
Wystawę uchwalono zorganizować w Warszawie w listopadzie (dział dzikich zwierząt futerkowych, dział królików, dział kotów i zwierząt laboratoryjnych, przemysł futrzarski, środki lecznicze, pasze i t. d.). W dziale dzikich zwierząt futerkowych będą przyjmowane eksponaty członków Związku, urodzone w Polsce, lub też zwierząt, które w Polsce dały potomstwo.

Postanowiono wydać broszurę propagandową, omawiającą zagadnienia hodowli zwierząt futerkowych w Polsce.

Opłaty rejestracyjne od zwierząt hodowców należących do Związku, ustalono w sumie: 1) od lisów srebrzystych i niebieskich po 10 zł od sztuki, b) norek po 2 zł. 50 gr., c) nutryj, szopów, skunksów po 2 zł., d) piżmowców po 50 gr. Stawki powyższe są opłacane od zwierząt według stanu ich na 1 lutego każdego roku.

APEL DO MYŚLIWYCH.

Dnia 19 maja zginęła na polach Natolińskich suka Eda pointerka 8 miesięcy, biała z czarnym łbem i kilkoma pomniejszemi tejże barwy łatami na korpusie. Suczka ta stanowiła własność dra Marjana Bielawskiego, zasłużonego i znanego w szerokich kołach myśliwych kierownika tresury wyżłów w Żółtej Karczmie. Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich i Redakcja Ł. P. zwracają się z apelem do wszystkich myśliwych o pomoc w odnalezieniu zguby i w razie znalezienia o zawiadomienie o tem Redakcji Ł. P.

MEBLE do 20 miesięcy kredytu
udziela tylko
Tow. Popierania Wytwórczości Polskiej
Wybór stylowych kompletów, sztuk pojedyńczych.
Warszawa, Al. Jerozolimskie 43
vis à vis Dworca, za Poznańską.
We własnym interesie każdy winien sprawdzić cenę, warunki, wykonanie.


WIADOMOŚCI HANDLOWE.

— **Króliki.** — Sezon hodowli królików posiada przebieg nogół pomyślny. Rolnicy, szczególnie drobni, przy powszechnie panującej obecnie tendencji do rozszerzania produkcji artykułów hodowlanych, jako więcej opłacalnych, w licznych przypadkach wprowadzają hodowlę królików na większą skalę, w przewidywaniu znaczniejszych zysków. Najlepiej opłaca się gatunek jednobarwnych (szczególnie zupełnie biały), długowłosych i dużych. Gatunek ten posiada zarówno najlepsze mięso do spożycia, chętnie

nabywane zagranicą, jaki najwyżej kwalifikowaną przez wytwórnie imitacji futer zwierząt dzikich — skórkę nadającą się w związku z białą barwą, oraz długim włosem, do celów przetwórczych oraz fabrykacji włosia dla fabryk wszelkiego typu filcu.

W Polsce ilość królików obliczana jest na 22 miljony sztuk, z czego na materjał wzorowy, nadający się z przytoczonych względów rentownosci, do hodowli — przypada zaledwie około miljona sztuk. Jest to odsetek bardzo nizki w porównaniu z innymi krajami, gdzie produkcja królików jest znacznie wyższa i lepiej zorganizowana, jak Belgja i Niemcy.

— **Ceny skórek.** — Na aukcji firmy Frederick Huth i c-o w Nowym Jorku wyniki były następujące: Sprzedaż ożywiona, zapytań dużo. Przeciętne ceny na towar wysokowartościowy:

Lisy krzyżowe zł. 1200.50, lisy niebieskie zł. 694.20, lisy białe zł. 311.50, lisy czerwone zł. 258.10, lisy siwe (szare) zł. 47.17, wielkie kuny amer. (fischer) zł. 1290.50, rosyjskie sobole zł. 507.30, kuny leśne zł. 178, kuny kamionki zł. 195.80, bobry 213.60, wydry zł. 204.70, rysie zł. 311.50, dzikie koty zł. 97.90, wilki zł. 151.30, szopy zł. 151.30, skunksy zł. 26.70, oposy ameryk. 8.90, piżmowce zł. 13.35, norki zł. 218.05.

Słów kilka do P. P. Myśliwych.

Aby zdobyć zaufanie, aby móc stać się popularnym w jakiejbądźkolwiek dziedzinie twórczośei, w pierwszym rzędzie towarzyszyć musi w większym stopniu rozgłos. Czy jest to dzieło sztuki, strój, czy otoczenie, zawsze szukamy czegoś, co nam wobec towarzystwa i we własnem kryterjum sprawia satysfakcję. A więc strój, inaczej ubiór, lub szata zewnętrzna wymaga od siebie czegoś więcej ponad dobroć towaru, czegoś, co jest historją od iks lat, a mianowicie wykonania ubioru, elegancji i jego gwarancji w wykwintności. Dlatego oto znana w sferach najwybitniejszych f-ma **A. Zaremba,** przestrzega P. P. Myśliwych, by nie szli na lep gołej reklamy niefachowców i tem samem unikali strat materjalnych. Z okazji zjazdu A. Zaremba zaprasza P. P. Myśliwych i poleca pierwszorzędny swój zakład krawiecki. P. P. Myśliwym rabat.

A. Zaremba, Warszawa, ul. Wspólna 36.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł.
Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery—po 20 gr., najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.**

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem.
Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

KOMITET REDAKCYJNY: J. Błeszyński, K. Czampe, J. Domaniewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, W. Gieysztor. I. Gymiński, Wł. Janta-Połczyński, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. hr. Krasiński, red. St. Krzywoszewski, prof. dr. E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski B. Świętorzecki, Fr. Unrug, Wł. Zabiełło i dr. St. Zaborowski.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stow. Łowieckich.**

ROCZNIKI ŁOWCA POLSKIEGO.

Administracja „Łowca Polskiego" ma do odstąpienia po cenie normalnej prenumeraty, kilka roczników powojennych „Łowca Polskiego". Po otrzymaniu zamówienia, wyślemy komplet roczny za zaliczeniem na koszt zamawiającego.

OGŁOSZENIA DROBNE.

Buchalter rolny poszukuje posady od zaraz ewent. lipca. Łaskawe zgłoszenia pod „Kawaler" do „Łowca Polskiego".

Jaja bażancie od 1 czerwca po zł. 1,— opakowane, loco Stryj, sprzedaje Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy p. Stryj.

Wyżeł szorstkowłosisty z rodowodem w drugiem polu, dobrze ułożony, budowa dobra, 65 cm. wysokości, po bardzo dobrych rodzicach nagrodzonych na konkursach wyżłów 350 zł. dowodnych i wystawach; bardzo cięty na drapieżniki za sprzedam Bolesław Poczta leśniczy Rościnno p. i st. kol. Skoki pow. Wągrowiec.

Żywą zwierzynę, jaja bażancie, młode bażanty, nasiona i rośliny pastewne dla zwierzyny poleca po umiarkowanych cenach Nadleśnictwo Babki poczta Krzesiny Wielkopolska. Prosimy żądać bezpłatnych cenników!

W torebce podróżnej



powinny się zawsze znajdować tabletki Aspirin, gdyż podczas podróży najłatwiej można się przeziębić.

Istnieje tylko jedna Aspirina!



Każde opakowanie i każda tabletka prawdziwej Aspiriny nosi jako znak ochronny napis BAYER w kształcie krzyża.

ŁODZIE SKŁADANE

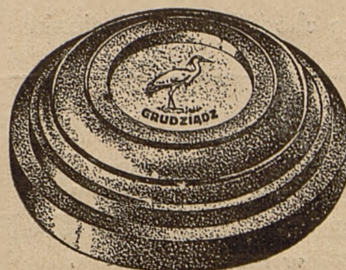
500 cm. długie, 90 cm. szerokie.
Nadają się szczególnie dla pp. Myśliwych.
Żądać ilustr. katalog

„MEWA"

Pierwsza w Polsce Wytwórnia łodzi składanych.
MIŁOSŁAW Wlkp.

Letnie futro.

— Przydałoby mi się dobrze futro.
— Teraz na lato?
— Do zastawienia.



„CZAPLA"

najlepsze rzutki do strzelań myśliwskich, nagrodzone na P. W. K. 1929.

ST. CZAPCZYK
fabryka rzutków,
Grudziądz (Pomorze)
ul. Sienkiewicza 7.
Telefon 315.

Pies - arystokrata.

Pani: — Czy ten pies ma rodowód?
Sprzedawca: — Rodowód? Moja pani, gdyby ten pies umiał mówić, nie chciałby z nami ani słowa zamienić, taki zeń arystokrata.

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji **z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P."**:

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana. — 25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego zesz. 1 — 1.40 zł.; zesz. 2 — 2.50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2,00 zł.

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł. 2) **„Nad Nilem Niebieskim"** — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1.00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy"—3,00 zł. 2) „Polująca Pani"—3,50 zł. 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie" — Aleksandra Janty Połczyńskiego — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego „Wspomnienia z życia łowieckiego". — 7 zł. (Dla PP. Prenumeratorów „Łowca Polskiego" 25% rabatu). **„Skowronek"** — 3.60 zł. **„Kruk"** — 4.50 zł. **„Słonka"** — 4 zł.

J. W. Kobylański. **„O zwierzyńcu w Katowicach"** 3 zł., **„Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie"** 3 zł., **„O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie"** 1 zł., **„O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie"** 1,50, **„O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie"** 1 zł., **„Humor i łacina myśliwska"** 1,50.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1.40 zł.
Jako polecone (gdy się wpłaca zgóry) dolicza się 90 groszy.

Precyzyjny, 10-cio strzałowy, automatyczny, sztucerek BROWNINGA, do naboi kal. 22 long rifle, nadaje się do polowań na wszelkie ptactwo.



Do nabycia w
Warszawskiej Spółce Myśliwskiej
w Warszawie, ul. Królewska 17
lub oddziałach: w Poznaniu, Gwarna 12, we Lwowie, pl. Marjacki 4, i Wilnie, ul. Wileńska 10, oraz w lepszych składach broni.

Letnie polowanie.

— Wracasz z polowania bez zwierzyny, dlaczego?
— Nie mogłem nic upolować.
— Z jakiego powodu?
— Mojemu psu było za gorąco.
— To cóż z tego?
— Pies się uparł i stale chodził w moim cieniu.

ZARZĄD
Lasów Krośniewice
poczta Ostrowy Warszawskie — ma do sprzedania
stare i młode bażanty srebrne oraz królewskie, jak również 5 młodych żółtych jamników po 40 zł. sztuka.



HODOWLA LISÓW SREBRZYSTYCH
ARGENTOLIS
właśc. KNUT HORVEI
w majątku Passy.
Największa ferma lisów srebrzystych w Polsce.
Ferma dostarcza zarodowe lisy wyłącznie ze świadectwami pochodzenia.
Warszawa, ulica Nowogrodzka 12, m. 7.
Telefon Nr. 764-23.

Co to jest jastrząb.

Młody Eliasz Spatzenmacher szedł lasem i widział, jak właśnie jakiś myśliwy zastrzelił jastrzębia.

— Co to jest to, co pan zastrzelił? — pyta młody Eliasz.

— Jastrząb — odpowiada myśliwy.

Eljasz wrócił do domu i spytał swego rabina, co to jest jastrząb. Rabin szukał po swoich księgach, ale nie znalazłszy nic, rzekł, ażeby się pozbyć kłopotu:

— Jastrząb to jest takie zwarjowane rybe...

— Ależ rebe, jak to może być rybe — un przecież skakał w powietrzu?

— Nu, to jest właśnie jego warjacje.

Jaja bażancie
po zł. 1.50,
opakowane,
loco stacja Stryj, sprzedaje
Małopolska Hodowla Zwierzyny
w Łukawicy p. Stryj

Jaja bażancie mongołów, półmongołów i torquatusów 90% zapłodnionych.
Karmę Spratta dla bażantów po 2 zł. — kg.
Siatki druciane wszelkich rozmiarów.
Bulwy po 15 gr. za 1 kg.
poleca
DARZ BÓR
POZNAŃ ul. Długa 3.
Sprzedaż nasion, sadzonek i narzędzi leśnych. Import i export żywej zwierzyny. Prosimy żądać bezpłatnych cenników.

PRZEGLĄD LEŚNICZY
Założony w roku 1876
Czasopismo miesięczne
Żądajcie numerów okazowych!

RYNEK DRZEWNY i BUDOWLANY
Organ dla handlu i przemysłu drzewnego
Wychodzi trzy razy w tygodniu
Numery okazowe bezpłatnie

DZIAŁ WYDAWNICTW
Poleca z wł. nakładu J. Paczoskiego: Dąbrowy Białowieży. Z. Hryniewieckiego: Luźne Kartki. H. Wyrwińskiego: znaczenie pochodzenia nasion w gosp. leśnem. W. A. Łuczkiewicza: Krótki zarys nauki o pomiarze drzew i drzewostanów — Zarys miernictwa elementarnego — Kilka myśli o filozofji i gosp. leśn. oraz jego wiedzy. W. J. Połczyńskiego: Estetyka Łowiectwa — Św. Eustachy — Polująca Pani — Kalendarz Leśny „Darz Bór" i
Przyjmuje zamówienia na wszelkiego rodzaju tabele kubiczne, jak Kamińskiego, Kormanna, Kohlmanna, Wachsmanna oraz wszelką literaturę z zakresu leśnictwa i łowiectwa.
Ceny konkurencyjne (Niezwłoczne wykonanie zamówień) Dogodne warunki płatności!
Administracja Przeglądu Leśniczego-Rynku Drzewnego T. z o. p., Poznań, W. Garbary 20 tel. 1820 i 3406

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.